

Gazeta Sremska

07/08/2023
ISSN 1232-7476
dwumiesięcznik
lipiec/sierpień
XXXIII
cena 5 zł



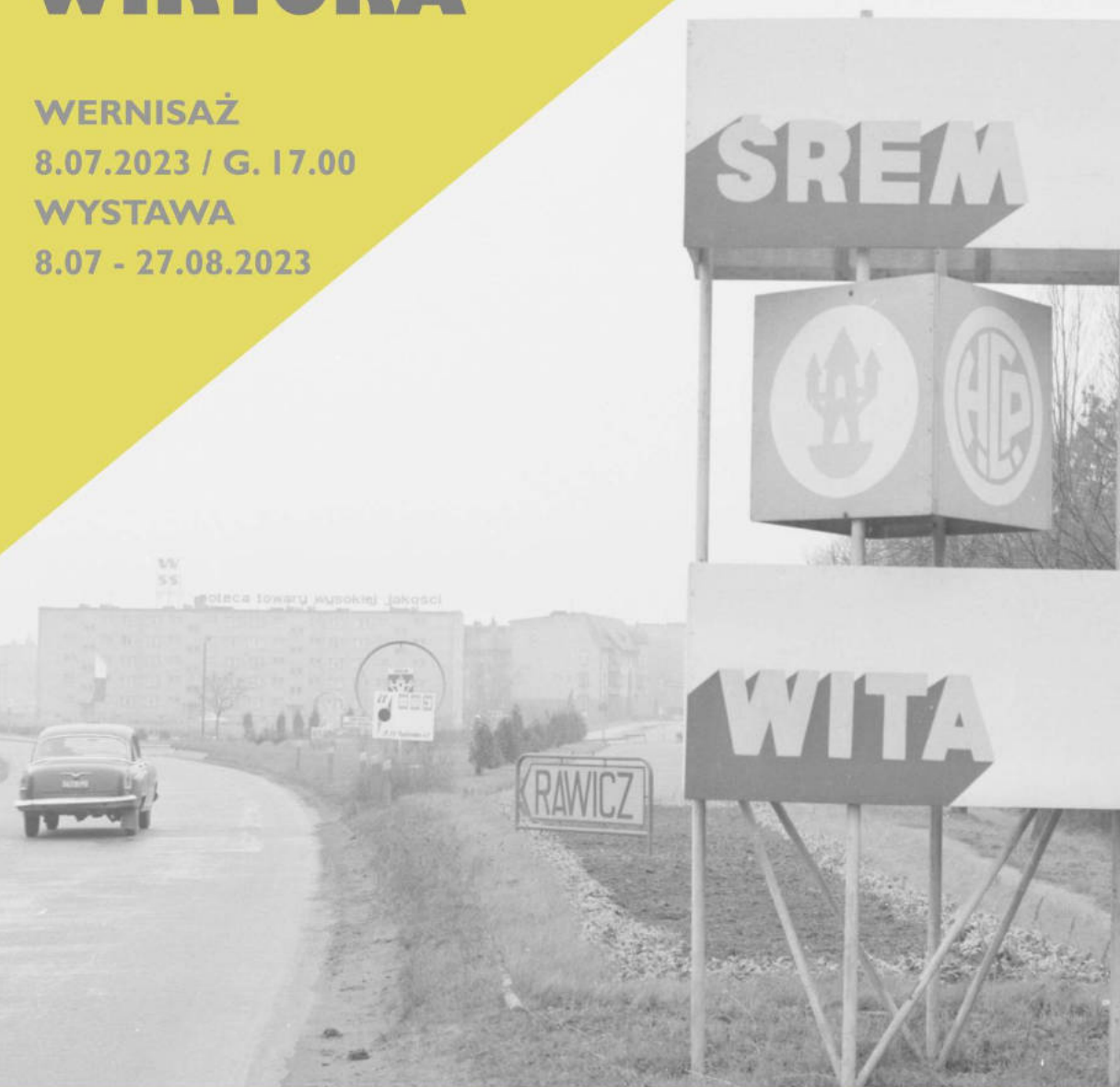
ŚREM W OBIEKTYWIE STANISŁAWA WIKTORA

WERNISAŻ

8.07.2023 / G. 17.00

WYSTAWA

8.07 - 27.08.2023



CYRYL

cyryl.poznan.pl



MUZELUM
ŚREMSKIE



Wydawnictwo
Miejskie
Poznań



Zarys dziejów komunikacji autobusowej w Śremie w latach 1913-1945

Remigiusz Grochowiak uzupełnia 6-odcinkowy cykl o historii komunikacji miejskiej w Śremie, o najstarszy i najmniej do tej pory znany okres jej funkcjonowania.

str. 02



10 lat Galerii Wybitnych Absolwentów LO w Śremie

Gabriela Wasielewska przypomina historię Galerii Absolwentów, która 10 lat temu powstała w śremskim Liceum Ogólnokształcącym im. gen. Józefa Wybickiego.

str. 16



Trudne początki japońskiej przygody Część 1

Bartosz Klimczuk zrealizował kolejne marzenie. Tym razem opisuje pierwszy etap podróży do Japonii. Kolejna część relacji z podróży w następnym numerze.

str. 46

Spis treści

Spis treści

- | | | | |
|---------|---|---------|--|
| str. 02 | Zarys dziejów komunikacji autobusowej w Śremie w latach 1913-1945 | str. 38 | Uciekinierzy do świata. Seria pięciu opowiadań. Lot |
| str. 10 | Pierwsze lata parafii NSP Jezusa w Śremie w zapiskach Władysława Kozielczyka. Część 2 | str. 42 | Patroni naszych ulic: Antoni Rzadki |
| str. 16 | 10 lat Galerii Wybitnych Absolwentów LO w Śremie | str. 43 | Na oparach: Cele i środki |
| str. 19 | Farmaceuta Leon Masiak we wspomnieniach córek | str. 46 | Trudne początki japońskiej przygody. Część 1 |
| str. 22 | Moje wspomnienie 28 czerwca 1956 w Poznaniu | str. 49 | Muzy, modelki, żony, kochanki – kobiety ze znanych obrazów. Część 4 |
| str. 26 | Opowieści mojej mamy: Życie w nowych realiach | str. 52 | Okiem belfra: Wyzwania pilnie poszukiwane |
| str. 29 | Wspomnienia mierzone kilometrami Warty. Część 7 | str. 53 | Wieści z Ratusza – 770 lat miasta Śrem |
| str. 33 | Rzeczy minione: Prodiż | str. 56 | Kłon dębu Wybickiego w muzealnym ogrodzie |
| str. 34 | Kwestionariusz Kultury: Katarzyna Grzegorzczak | str. 57 | Śrem w obiektywie Stanisława Wiktora: Wystawa w Muzeum Śremskim. 8.07-25.08.2023 |
| str. 36 | Z górnej półki: Opowiadania z piekła rodem | str. 58 | Muzeum – wydarzenia |
| | | str. 59 | Herby Śremu.: Wystawa w Muzeum Śremskim 14-26.06.2023 |
| | | str. 60 | ŚOK – wydarzenia |
| | | str. 62 | Biblioteka – wydarzenia |

Remigiusz GROCHOWIAK

Zarys dziejów komunikacji autobusowej w Śremie w latach 1913-1945

Początki komunikacji autobusowej w Śremie datowane były dotychczas na drugą połowę lat dwudziestych XX wieku. Jako rok uruchomienia pierwszej linii autobusowej, łączącej miasto z Poznaniem podawany był 1926 rok¹, kiedy to Stefan Pawlicki, właściciel hurtowni artykułów spożywczych, miał zakupić autobus i uruchomić regularną komunikację ze stolicą Wielkopolski. Dziś jednak już wiemy, że dzieje autobusu Pana Pawlickiego zaczynają się wcześniej i są jedynie jednymi z kilkudziesięciu podobnych historii tamtego okresu. Początków zaś omnibusów spalinowych w Śremie należy szukać aż ponad dekadę wstecz.

Już bowiem 29 marca 1913 roku z rynku w Śremie do Poznania odjechał pierwszy omnibus motorowy firmy Benz & Cie z Mannheim². Firma ta, posiadająca w Poznaniu przy Bismarckstrasse 1 (ul. Kantaka) salon sprzedaży swoich pojazdów, uznała otwarcie linii autobusowej pomiędzy Śremem i Poznaniem za świetną promocję swoich wyrobów. Otwarcie linii, planowane pierwotnie na 15 marca 1913 roku, opóźniło się ze względu na opóźnienie przy dostawie autobusu³.

Przystanek początkowy w Poznaniu planowano początkowo zlokalizować na Alter Markt (Starym Rynku) przy Conditorei Pfitzner, jednak po konsultacjach z inspektorami policyjnymi zdecydowano się go przenieść na Wilhelmsplatz (plac Wolności). Stąd trasa biegła przez rynek, ulicę Wielką, Chwaliszewo, Czartorię, Bramę

Kaliską do Rataj, a dalej przez Gądkę, Kórnik, Czmoń do Śremu. Autobus wykonywał trzy kursy w ciągu dnia, a cena biletu była uzależniona od długości pokonywanej trasy. Bilety nabywało się bezpośrednio u kierowcy. Obsługę połączenia zapewniał mały omnibus, mogący zabrać ośmiu pasażerów.

Połączenie zostało dobrze przyjęte przez mieszkańców i miejscowych kupców, którym bezpośredni autobus oszczędzał długich i powolnych wypraw koleją przez Czemiń. Ciekawostką był fakt umieszczenia wszystkich nadruków, biletów i rozkładów zarówno w języku niemieckim, jak i polskim, co miało zachęcić zwłaszcza polskich mieszkańców Poznania, Kórnika i Śremu do korzystania z nowego środka komunikacji. Jednak w wyniku interwencji Policji, na początku czerwca 1913 roku polskie napisy znikły z pojazdu⁴. Przywrócono je dopiero po tygodniu⁵.

Z biegiem tygodni zainteresowanie autobusem jednak malało. W grudniu 1913 roku firma zdecydowała się zlikwidować linię do Kórnika i Śremu, a obsługujący ją autobus skierować na nową trasę z Königsplatz (plac Cyryla Ratajskiego) do Schlehen (Tarnowo Podgórne). Nową linię otwarto 18 grudnia 1913 roku.

Nie udało się odnaleźć informacji na temat funkcjonowania komunikacji autobusowej w okresie Pierwszej Wojny Światowej. Mimo ograniczeń w transporcie należy przypuszczać, że połączenie z Poznaniem było w jakiejś formie utrzymane. W owym okresie potwierdzone jest bowiem istnienie wielu innych linii autobuso-

Der Automobil-Omnibus
wird vom 15. März d. J.
zwischen Schrimm und Posen
täglich kursieren.

Abfahrt
von Bnin—Kurnik nach Posen:
früh . . . 6 1/2 Uhr
mittags . . . 1 " "
nachmittags 7 " "
jeden Mittwoch und Sonntag nachmittags
anstatt 7 Uhr um 6 Uhr.

Abfahrt
von Posen nach Kurnik Bnin täglich:
früh . . . 8 1/2 Uhr
nachmittags 3 " "
abends . . . 9 " "
jeden Mittwoch und Sonntag abends anstatt 9 Uhr
um 12 Uhr nachts (für Theatergäste).

Abfahrt von Kurnik nach Schrimm
9 1/4 vormittags, 3 3/4 nachmittags u. 9 3/4 abends.

Haltestellen:
Schrimm, Cmon, Bnin, Kurnik, Gondek, Posen.

Fahrtpreise:

Schrimm—Cmon	à Person 1,00 Mk.
Schrimm—Bnin Kurnik	à Person 1,50 Mk.
Schrimm—Gondek—Posen	à Person 2,00 Mk.
Bnin—Kurnik—Posen	à Person 1,20 Mk.

Billets sind beim Chauffeur zu haben.

Omnibus automobilowy
kursować będzie od 15. marca b. r.
między Śremem a Poznaniem
codziennie.

Wyjeżdża
z Bnina—Kurnika do Poznania:
rano . . . o godz. 6 1/2
w południe " 1
popołudniu " 7
w każdą środę i niedzielę popołudniu
zamiast o 7 o godz. 6.

Wyjeżdża
z Poznania do Kurnika—Bnina codziennie:
rano . . . o godz. 8 1/2
popołudniu " 3
wieczorem " 9
w każdą środę i niedzielę wieczorem
zamiast o 9tej o 12tej w nocy (dla teatru).

Wyjeżdża z Kurnika do Śremu
o 9 1/4 przedpołudniem, 3 3/4 popołudniu i 9 3/4 wiecz.

Przystanki:
Śrem, Cmon, Bnin, Kurnik, Gądky, Poznań

Ceny jazdy:

z Śremu do Cmonia	od osoby 1,00 mk
z Śremu do Bnina i Kurnika	od osoby 1,50 mk
z Śremu do Gądek i Poznania	od osoby 2,00 mk
z Poznania do Kurnika i Bnina	od osoby 1,20 mk

Bilety sprzedaje szofer.

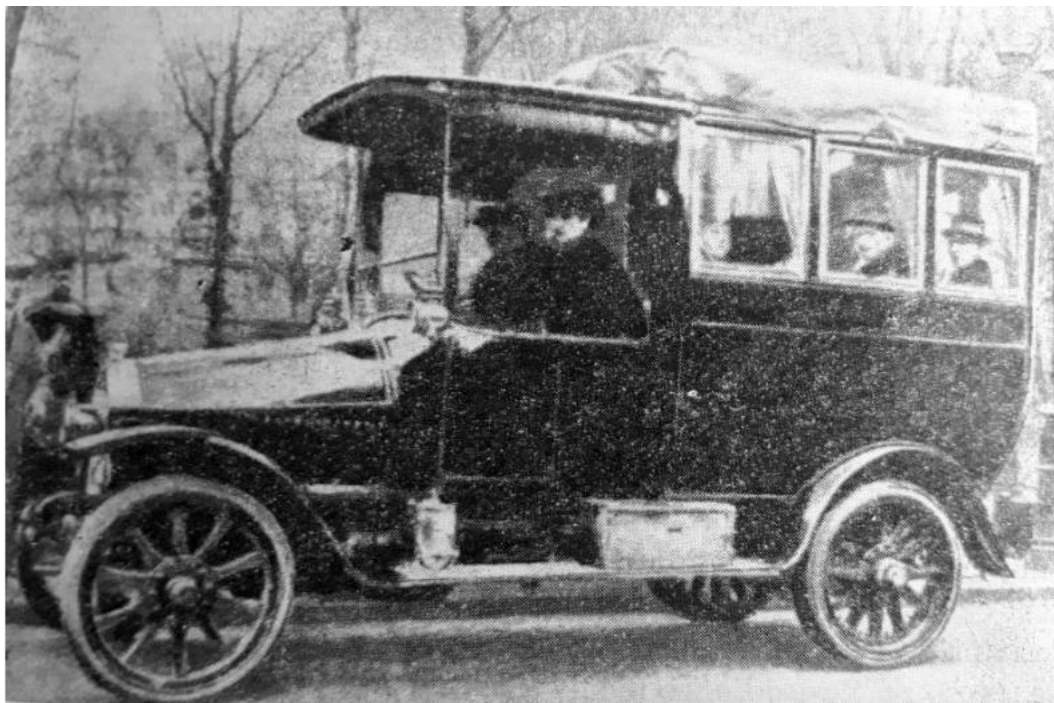
Rozkład jazdy omnibusu motorowego pomiędzy Śremem a Poznaniem w 1913 roku. Ze zbiorów Archiwum Państwowego w Poznaniu

wych w Wielkopolsce, m.in. w Poznaniu, Kaliszu czy Koninie. Były one likwidowane dopiero w okolicach 1915-1917 roku, kiedy paliwo było koncesjonowane już głównie na cele militarne. Pierwsze lata powojenne, a następnie szalejąca inflacja, również nie sprzyjały odbudowie połączeń autobusowych w regionie. Dopiero reforma walutowa Grabskiego, w połączeniu z ustabilizowaniem gospodarczym, umożliwiły szerszy rozwój automobilizmu.

Jedną z pierwszych, ponownych wzmianek o autobusie kursującym ze Śremu do Poznania pochodzi z 22 października 1925 roku⁶. Dotyczy ona zdarzenia, do jakiego doszło na szosie pomiędzy Gądkami i Poznaniem, gdzie „wydarzył się poważny wypadek z autobusem p. Pawlickiego, zdążającym ze Śremu do Poznania. Kierownik autobusu spostrzegł, wyjechawszy z Gądek, że kierownica odmówiła posłuszeństwa i autobus zdążył po szosie w kierunku ukośnym. Użył

natychmiast hamulca, aby wehikuł zatrzymać, zdążył już tylko powstrzymać rozpęd autobusu, który najechawszy mostek ponad niewielkim rowem, runął zeń do rowu. Autobus, uderzywszy przodem o grunt, przewrócił się i rozbił. Wszyscy jadący w liczbie dwudziestu osób odnieśli rany, to od potłuczenia, to od odłamków szkła. Na szczęście nikt nie odniósł ran poważnych, co zawdzięczać należy głównie zwolnionemu biegowi samochodu. Ze strony Śremu nadjechały wkrótce potem dwa inne autobusy, które odwoziły rozbitków, w tym kilka zemdłałych niewiast, do Poznania”⁷.

Stan techniczny autobusu p. Pawlickiego nie odbiegał znacząco od stanu innych eksploatowanych wówczas pojazdów, a wypadki zdarzały się bardzo często, o czym chętnie donosiła lokalna prasa. 6 marca 1927 roku Gazeta Międzychodzka zamieściła artykuł o pożarze autobusu na linii Poznań–Śrem–Gostyń na rynku w Dolsku, o po-



Kursujący pomiędzy Śremem a Poznaniem autobus firmy Benz & Cie. w 1913 roku. Reprodukacja z książki: Teresa Dohnalowa: *Rozwój transportu w Wielkopolsce w latach 1815-1914*. Warszawa – Poznań 1976

dobnym przypadku, tym razem na drodze z Czmonia do Śremu poinformowała „Gazeta Szamotulska” 23 lipca 1929 roku⁸. Niedoskonałe technicznie rozwiązania, w połączeniu z kiepską jakością szos, powodowały spore utrudnienia w eksploatacji pojazdów. Jedynie bowiem główne szosy wyłożone były kamieniem, drugorzędne zaś aż do końca lat dwudziestych budowane były w technologii żwirowej⁹, co w przypadku roztopów i większych opadów czyniło z nich grzęzawiska nie do przebycia. Pęknięcia na nich przednich opon były najczęstszą przyczyną wypadków aż do 1935 roku¹⁰.

Pan Pawlicki zapewne szybko odbudował autobus po wypadku, skoro jego kursowanie jest również odnotowane w 1926 roku¹¹. Remontowi sprzyjała całkowicie drewniana konstrukcja pojazdu, dzięki czemu naprawy dokonywane były szybko, często wręcz prowizorycznie.

Druga połowa dekady lat dwudziestych przyniosła ze sobą wysyp kolejnych przewoźników, kursujących na trasie do Poznania. Oprócz autobusu

Pawlickiego, na trasie kursowały wozy p. Słężaka, a w 1929 roku nową trasę ze Śremu przez Mosinę do Poznania otworzyła firma p. Tobolskiej. Dużą zmianą jakościową było pojawienie się, na przedłużonej trasie z Poznania do Gostynia, komfortowych autobusów marki Komnick, wprowadzonych na tą trasę przez Firmę Komunikacji Autobusowej Staniszewskich. Cena biletu do Poznania wynosiła w latach trzydziestych XX wieku 2,50 zł¹².

Dla wszystkich autobusów przystanek początkowy w Śremie znajdował się na rynku, przy narożniku ulicy Kościuszki. W Poznaniu autobusy docierały do różnych miejsc, gdyż samo miasto nie posiadało wówczas jeszcze dworca autobusowego, a chcąc zaoszczędzić kosztów, właściciele pojazdów wysadzali i zabierali pasażerów z różnych miejsc i podwórz w mieście. W 1929 roku autobusy do Śremu odchodziły z ul. Ratajczaka, zaś do Gostynia przez Śrem z przystanku przy nieistniejących obecnie Wałach Jana III 13 (obecny rejon Al. Niepodległości pomiędzy ul.

*** Komunikacja autobusem Poznań-Śrem.** Komunikację autobusową na tej linii przejęła firma Cierpiakowski i Michałowicz, Poznań, ul. Skośna 16-17, która podaje do wiadomości, że autobusy na tej linii kursują codziennie i wyjeżdżają z Poznania z miejsca postoju przy ul. Fr. Ratajczaka (Apollo) o godz. 7, 13 i 18,30 i przystawają przy narożniku W. Garbary-Grobla 15 minut później. Z Śremu z rynku odchodzą autobusy o godz. 6,30, 13 i 18,30. Po drodze przystawają w Kórniku, w Bninie oraz na specjalne życzenia interesentów na każdym miejscu. Przejazd z Poznania do Śremu wynosi około 1 i pół godziny i kosztuje od osoby 3,50 zł.

Informacja o komunikacji autobusowej uruchomionej przez firmę Cierpiakowskiego i Michałowicza z Poznania z 1926 roku. „Kurier Poznański” z 9.10.1926r.

Libelta i Św. Marcin), a następnie z ul. Mostowej. Na trasie do Śremu autobus kursował dwa razy dziennie (rano i wieczorem), z dodatkowym kursem w południe z przesiadką w Mosinie. Dodatkowo, na trasie z Gostynia przez Śrem do Poznania autobusy T. Staniszewskiego pojawiały się osiem razy dziennie, z tym, że do Gostynia docierały jedynie dwa kursy, do Dolska sześć, a dwa kończyły i rozpoczynały się w Śremie. W niedziele i święta z rozkładu wypadały dwa popołudniowe kursy o 18:50 o 19:15. W zamian wykonywany był kurs o północy z Poznania, tzw. *teatralny*¹³. Osiem kursów wykonywały od czerwca 1929 roku również autobusy Sp. Autobusowej T. z o.o., kursujące naprzemiennie z kursami Staniszewskiego¹⁴. W ciągu kilku miesięcy dołączyło do nich jeszcze kilku właścicieli autobusów.

Udzielane przez Wojewodę Poznańskiego zgody na uruchomienie autobusów regulowały wszystkie podstawowe warunki eksploatacji. Koncesjonariusz zobowiązany był uruchomić połączenie w terminie 3 miesięcy od uzyskania zgody, a na linii kursować mógł jedynie autobus zarejestrowany w umowie. Ruch pojazdów odbywać się miał według zatwierdzonego przez Urząd Wojewódzki rozkładu, który miał być wywieszony wraz z cennikiem w każdym pojeździe. Ilość pasażerów na danym kursie została ograniczona do nominalnej pojemności autobusu, zapisanej w dowodzie rejestracyjnym¹⁵. Urzędowo zatwierdzany był również cennik biletów¹⁶.

Przypomnieć tu należy, że w latach dwudziestych XX wieku, zawód szofera, jak i prowadzenie przewozów pasażerskich autobusowych było

ROZKŁAD RUCHU AUTOBUSOWEGO						
Autobus PZ. 10 688 kursuje na linii Śrem-Poznań						
Miejsce postoju: ulica Artyleryjska.						
Właściciel autobusu: Marja Tułuska i Jan Przybył, Mosina – pow. Śrem.						
Odjazd	Km	Stacje	Cena	Przejazd		
17,20	13,15	5,00	—	10,70	13,70	22,00
18,00	13,45	6,00	11	11	14,20	21,20
18,15	13,00	6,15	5	12	14,15	21,15
18,30	13,15	6,30	5	13	14,30	21,30
18,45	—	6,45	6	14	—	21,45
—	—	—	6	15	14,45	—
19,15	—	7,15	8	16	15,15	22,15
Rozporządzenie: Poznań-Mosina 1,45 zł, Poznań-Śrem 2 — zł, Śrem-Mosina 1,25 zł.						
Autobus PZ. 44554 kursuje na linii Poznań-Śrem						
Miejsce postoju: ul. Artyleryjska.						
Właściciel autobusu: A. Tyłdacki i J. Karkiewicz, Mosina.						
Odjazd	Km	Stacje i przystanki	Cena	Przejazd		
23,15	15,00	—	—	11,00	15,45	
23,30	16,45	7,00	21	11,15	15,50	
—	18,00	8,00	45	11,30	16,00	

Rozkład jazdy autobusów na linii Śrem – Poznań przez Mosinę. „Kurier Poznański” z 20.08.1929r.

zawodem wolnym, który po zgłoszeniu w Starostwie Powiatowym uprawiać mógł każdy. Niewygórowane ceny zakupu autobusu, połączone z łatwością otrzymania na taki zakup kredytu, sprawiały zaś, że częstokroć cała firma przewoźowa składała się z całej rodziny - męża za kierownicą, żony w roli konduktorki, a często także dzieci pomagających sprzątać wóz. Oszczędność na kosztach prowadzenia działalności odbijała się niekorzystnie również na stanie utrzymania samych pojazdów. Kolejne wypadki zdarzały się regularnie, a kuriozalne dzięki nim, oraz zamieszczanym sporadycznie rozkładom jazdy, poznać możemy dziś większość przewoźników operujących na przełomie dekady na trasach autobusowych w okolicy Śremu. Śledząc zaś tablice rejestracyjne poznać możemy również kolejność pojawiania się i znikania przewoźników na trasach.

Kryzys początku lat trzydziestych uderzył mocno w przewoźników. Spadające przewozy doprowadziły do bankructwa szeregu połączeń. Sytuacja zaczęła poprawiać się dopiero około 1932 roku, choć nadal latem tego roku można było z Poznania do Śremu dojechać nadal zaledwie 12 razy. Większość autobusów, różnych przewoźników, jechała dalej do Dolska i Gostynia, nowością był popołudniowy kurs z Poznania przez Śrem i Borek do Ostrowa Wielkopolskiego¹⁷. Dużą zmianą było uporządkowanie ruchu autobusów podmiejskich w samym Poznaniu i otwarcie 26 listopada 1932 roku nowego dworca autobusowego w tym mieście. Został on zlo-

Lp.	Numer Rejestracyjny Autobusu	Trasa	Właściciel	Rok istnienia
	PZ. 10533 PZ. 43143 PZ. 43689 PZ. 43898	Gostyń – Śrem – Kórnik – Poznań	Firma Sp. Autobusowa T. z o. p. Śrem	1929
	PZ. 40014	Książ – Śrem – Mosina - Poznań	Jan Skajda z Poznania	1929
	PZ. 43596 PZ. 12226 (*)	Dolsk – Śrem – Kórnik – Poznań	Teofil Bruski i Sylwester Mróz z Dolska, pow. Śrem	1929-1930
	PZ. 43947 (-) PZ. 43948 (-) PZ. 44179 PZ. 44956 (*) PZ. 46183 (*) PZ. 46305 (*) PZ. 43947 (*)	Gostyń – Śrem – Kórnik - Poznań	T. Staniszewski z Poznania	1929-1930
	PZ. 10688 PZ. 46682	Śrem – Mosina – Poznań	Maria Tobolska i Jan Przybył z Mosiny	1929-1931
	PZ. 44654 PZ. 10436 (*)	Śrem – Mosina - Poznań	Antoni Tyliński i Jan Kurkiewicz z Mosiny	1929-1930
	PZ. 40763	Śrem – Kórnik - Poznań	Stanisław Woźniak ze Śremu	1930
	PZ. 46244	Śrem – Kórnik - Poznań	Walenty Musiał z Poznania	1930

Tab. Przewoźnicy oraz tabor na liniach o okolicy Śremu o latach 1929-30.

Objaśnienia: (-) – autobus skasowany do 1930 roku, (*) – autobus kupiony W 1930 roku.

(Opracowanie własne na podstawie rozkładów jazdy autobusów, informacji prasowych z lat 1929-30, akta Archiwum Państwowego w Poznaniu sygn. 285 oraz 89.)

kalizowany na Placu Drwęskiego (obecnie skrzyżowanie ul. Matyi i Wierzbicę)¹⁸ i pełnił swoją funkcję w tym miejscu do początków XXI wieku.

W taborze wielkopolskich przewoźników dominowały w latach trzydziestych XX wieku nadal Chevrolety i Fiaty, do których karoserie często były budowane w lokalnych zakładach (m.in. firma p. Zagórskiego w Poznaniu), bądź też w warsztatach własnych firm przewozowych. W pojazdach znacznie usprawniono elementy jezdne, opony i hamulce, a w autobusach daleko-

bieżnych zaczęto montować toalety i siedzenia pierwszej klasy. Nowością były pierwsze autobusy lokalnej produkcji marki Ursus, które jednak nie zdobyły popularności wśród przewoźników. Większym powodzeniem cieszyły się natomiast autobusy Sauerera, które, choć droższe, były znacznie wygodniejsze i mniej awaryjne od Chevroletów.

29 sierpnia 1934 roku wydarzyła się kolejna, duża katastrofa autobusowa pod Śremem. Zderzający z Dolska do Poznania duży autobus wpadł, z powodu mgły, na przejeździe kolejno-



Autobusy na nowo otwartym Dworcu Autobusowym na Pl. Drwęskiego w Poznaniu, NAC sygn. 3/1/0/8/3905

wym pod wsią Pysząca pod pociąg zmierzający ze Śremu do Jarocina. Nowy i pełnowartościowy autobus marki Saurer został odrzucony w bok przez parowóz i uległ całkowitemu rozbiciu. W wypadku 15 osób zostało rannych, w tym 11 ciężko. Poszkodowanych zabrano do śremskiego szpitala. W marcu 1935 roku w godzinach popołudniowych na odcinku między Czmoniem a Śremem, w wyniku defektu kierownicy, rozbił się kolejny autobus. W wyniku uderzenia o drzewo pasażerowie powpadali na siebie, lecz poza kierowcą nikt nie odniósł większych obrażeń. Był to ostatni tak duży wypadek z udziałem autobusu w okolicach miasta do 1939 roku.

Podobne wypadki działy się na początku lat trzydziestych XX wieku w całym kraju, przez co coraz głośniej zaczęto się domagać lepszej kontroli nad przewoźnikami. Do kwestii uporządkowania komunikacji autobusowej przymierzano się zresztą już od końca lat dwudziestych XX wieku kilkukrotnie, zawsze jednak spotykało się to

z krytyką wskazującą na zamach na wolności gospodarcze. Zmiany wprowadzano więc stopniowo. W 1929 roku w życie weszły nowe przepisy o autobusach i tramwajach, regulujące kwestię wyposażenia i sprawności pojazdów¹⁹, zaś w 1930 roku wprowadzono nowy, bardziej zastrzony egzamin na kierowcę²⁰. Od tego samego roku autobusy musiały być także obowiązkowo wyposażone w apteczki pierwszej pomocy²¹. Ostatecznie sprawę przewozów autobusowych udało się uregulować wprowadzeniem systemu koncesyjnego dopiero w 1932 roku, po serii kolejnych tragicznych wypadków z udziałem autobusów. 18 kwietnia 1934 roku upłynął okres przejściowy wykonywania bez koncesji zarobkowego przewozu osób i towarów. Od tego dnia, aby móc dalej wykonywać przewozy pasażerskie, należało nabyć w Ministerstwie Skarbu odpowiednią koncesję oraz składać półroczne świadectwa przemysłowe dla prowadzonej działalności²². Ukróciło to znacz-



Autobus obsługujący połączenie Poznań – Śrem – Dolsk ok. 1938 roku. Archiwum: www.allegro.pl, dostęp 27.10.2021

nie samowolę na drogach i doprowadziło do powstania w miejsce jednoosobowych firm dużych przedsiębiorstw autobusowych, posiadających w swojej flocie od kilkunastu do kilkudziesięciu autobusów.

Obsługa terytorialna Wielkopolski podzieliła się na kilkunastu przewoźników. Obsługę regionu śremskiego przejęły głównie Poznańskie Linie Autobusowe, z siedzibą w Poznaniu przy ulicy Przemysłowej 23. W przeddzień wybuchu II wojny światowej na głównej trasie z Poznania przez Kórnik do Śremu autobusy tego przewoźnika wykonywały 12 kursów. Dwa z nich jechały dalej do Książa, cztery do Borka, Koźmina i Krotoszyna, zaś pięć do Gostynia. Dwa kursy wykonywane były ze Śremu do Poznania przez Mosinę, z tym, że jeden tylko w dni robocze²³. Również dwa razy dziennie odjeżdżały ze Śremu autobusy firmy Fiapol Sp. z o.o., kursujące przez Zaniemyśl do Środy Wlkp. i dalej do Poznania. Siedziba tego przewoźnika, operującego głównie w południowo-wschodnim rejonie Wielkopolski, mieściła się przy ulicy Wierzbicice 5 w Poznaniu.

Kres funkcjonowania polskiej przedwojennej komunikacji autobusowej przypadł na pierwsze

dni września 1939 roku. Tego dnia hitlerowskie Niemcy napadły na Polskę, a wszelki ruch pasażerski na drogach ustał. Wszystkie dostępne autobusy zostały zarekwirowane przez wojsko i użyte do celów militarnych.

Przypisy

1 Marceli Szczepny, Transport i Komunikacja w: Gostomski, Karol, red. 1988. „Głos Śremski” 1988.10 R.5 Nr10(52)”. Poruszone również w: Kalendarium w: Gostomski, Karol, red. 1987. „Głos Śremski” 1987.07 R.4 Nr7(37)”. (TIK).

2 „Kurier Poznański” 1913.03.29.

3 „Kurier Poznański” 1913.03.15.

4 „Kurier Poznański” 1913.06.21.

5 „Kurier Poznański” 1913.06.27. Podobny błąd popełnili pod koniec XIX wieku również wcześniej właściciele Poznańskiej Kolei Konnej, którzy nie umieścili polskich nazw na przystankach i wagonach, co doprowadziło do bojkotu tramwaju przez polskich mieszkańców Poznania.

6 „Gazeta Nadnotecka i Oredownik” 1925.10.22.

7 Ibidem.

8 Szerszy opis tego wypadku zamieścił „Oredownik Ostrowski: pismo na miasto i powiaty Ostrowski i Odolanowski oraz miast Ostrowa, Odolanowa, Sulmierzyca i Raszkowa” z 26 lipca 1929 roku: Dnia 18 bm. o godz. 22.45 na szosie Śrem – Kórnik niedaleko za Czemoniem spalili się piękny, biały autobus marki Komnacki firmy T. Stanisławski z Poznania. Pożar powstał prawdopodobnie z powodu zapalenia się benzyny, wywołanego krótkim spięciem. Pasażerowie znajdujący się w autobusie nie ponieśli żadnego szwanku jedynie dzięki przytomności szofera, który kazał im wolno wyjść. Autobus był prawie nowy, gdyż oddano go do użytku zaledwie kilka tygodni temu. Z braku wody nie można było ognia stłumić, przez co spalili się doszczętnie.

9 Por. m.in. w Drogę bite w Województwie Poznańskim w „Gazeta Miedzichodzka” 1926.03.24. Oraz Album fotogr. wykazujący częściowo działalność Sejmiku i Wydziału Powiatowego w Nowym Tomyślu w czasie od r. 1923 do 1929. Ze zbiorów Grzegorza Prętkiego.

10 Przyczyny wypadków autobusowych, w: Samochód. Motocykl – Samolot. Dwutygodnik ilustrowany poświęcony zagadnieniom nowoczesnej komunikacji, Poznań 1935.10.15.

Sebastian IGNASIAK

Pierwsze lata Parafii NSP Jezusa w Śremie w zapiskach Władysława Kozielczyka

Część 2

Wyjątki z kroniki

4.9.77.

Nawiedzenie Obrazu MB Częstochowskiej. O 19.00 Pontyfikalna Msza Św, którą celebrował Ks. Bp. Przykucki. A o północy Pasterka Maryjna i adoracja mieszkańców i parafian- Jezioran. Udział w uroczystości brał chór z Fary śremskiej i Orkiestra dęta H.C.P – Odlewnia Żeliwa.

18.9.77.

Ks. Penczyński organizuje chórek dziewczyńcy z naszej parafii. Rolnicy zwieźli cegłę z Poznania.

2.10.77.

Zgłosiła się 1 Róża Różańcowa Matek z Jezioran. Prosimy o dalsze.

6.11.77.

Triduum przed uroczystością Św. Stanisława Kostki w Farze śremskiej. Uświetnią uroczystość zespoły z Fary i naszej parafii. Udział weźmie Ks. Józef Mikołajczak z Poznania. Wyświetli przeźroczka pt. *Życie Św. Stanisława Kostki*.

20.11.77.

Ks. Henryk Kaliszan z Ludom ofiarował dla naszej Parafii kielich z 16 wieku oraz kustodia. W ofiarowanym kielichu Czcigodny Ofiarodawca odprawi Mszę Św. o 10.00 i 12.00. W tym tygodniu założone zostanie centralne ogrzewanie w kaplicy i salkach katechetycznych. Pracę wykonali p. Chybki, Nowak i Mostowski bezinteresownie. Za to im serdeczne Bóg zapłać.

4.12.77.

Z okazji Patronki Odlewników Św. Barbary odprawiona została Msza Św. w intencji odlewników. O godz. 10.00 odprawił mszę Św. Ks. Dziekan Z. Thimm, żegnając się z byłymi parafianami przed odejściem do Paraf. Św. Michała w Poznaniu.

25.12.77.

W ub. tygodniu opracowany został projekt techniczny naszego kościoła i przedłożony władzom.

8.1.78.

Wystąpił zespół śpiewaczy z Poznania w wieczorze kolęd.

5.2.78.

I czterdziestogodzinne nabożeństwo w naszej Parafii. Udział Róż Różańcowych.



Nawiedzenie obrazu M.B. Częstochowskiej. 4.09.1977. Od lewej ksiądz Z. Thimm, biskup Eter, ksiądz dziekan Jan Kajetańczyk

8.3.78.

Międzynarodowy Dzień Kobiet. Msza Św. o 18.30 w intencji kobiet naszej Parafii.

19.3.78.

Poświęcenie sztandaru Róż Różańcowych Ojców naszej Parafii.

26.3.78.

Przygotowanie terenu pod budowę nowego kościoła. Prośba o kamienie polne do fundamentów pod kościół.

7.5.78.

Otrzymano zgodę od Naczelnika Miasta p. M. Wawrzyniaka na rozpoczęcie oficjalnych prac budowlanych przy budowie naszej nowej świątyni.

21.5.78.

I Komunia Św. w dziejach naszej Parafii.

25.5.78.

Uroczysta procesja Bożego Ciała na parkingu przed blokami 4, 6, 8 przy ul. Zawadzkiego. W czasie procesji będzie niesiony nowy baldachim, dar mieszkańców Jezioran.

28.5.78.

Wykonano część fundamentów pod nowy kościół.

7.6.78.

Bierzmowanie w naszej Parafii. Sakramentu Bierzmowania udzieli Ks. Bp. Marian Przykucki.

12.6.78.

[...]. Rozpoczęto zalewanie betonem fundamentów pod nowy kościół (90 m³).

2.7.78.

Dalsze zalewanie betonem fundamentów pod ściany boczne i zbrojenie, prace ciesielskie – potrzeba wielu cieśli. Prace na 3 zmiany. Do drobnych prac prosimy młodzież i ministrantów. 7 godz. trwało zalewanie betonem.

9.7.78.

Prośba o udział chętnych do zbiórki ofiar na budowę naszego kościoła z Para. Św. Ducha i Fary w Śremie (16.7.78 – Duch Św.).

23.7.78.

Zalewanie trzeciego fundamentu pod boczne ściany. Wywóz ziemi pod dolny kościół. Uzbrowiono fundamenty i odgruzowano posadzkę dolnego kościoła.

12. 8.78.

[...]. Rozpoczęto już wznoszenie murów nowej świątyni.

26. 8.78.

Msza Św. przed nawiedzeniem Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej od 26. 8–2. 9. 1977 r.

10. 9.78.

Wznoszenie murów dolnego kościoła do wysokości stopni.

17. 9.78.

Osiągnięto już murami „poziom zerowy”.

1.10.78.

[...]. Zakończono mury wewnętrzne kościoła dolnego i wybetonowano wewnętrzne posadzki. Rozpocznie się szalowanie stropu dolnego, przygotowano zbrojenie.

22.10.78.

[...]. Rozpoczęto zbrojenie stropu dolnego kościoła.

19.11.78.

Zabetonowano 1 przyporę i zalano I cz. stropu nad dolnym kościołem.

26. 11.78.

Od 30. XI rozpoczną się 3 dniowe Rekolekcje Adwentowe.

3.12.78.

Zalewano i przygotowano zbrojenie II cz. stropu nad dolnym kościołem.

11.3.79.

Zbrojenie wjazdu do dolnego kościoła.

25. 3. 79.

Od 29 rozpoczną się Rekolekcje Wielkopostne. Nauki głosić będzie O Karol, franciszkanin z Kobylina. Na budowie kościoła: zaszalowano 2 przypory (boczne wejście do górnego kościoła). Zakupiono dużą betoniarkę.

1.4.79.

Zabetonowano 2 filary pod podjazd „główne wejście”. Dalszą część stropu, betonowano 2 przypory, wejście od strony Jezioran.

3.6.79.

Ojciec Św. przybył do Gniezna. W Bazylice Prymasowskiej poświęci kamień dla naszego budującego się kościoła. [...].

21.6.79.

[...]. Na budowie: betonowano schody od str. Jezioran oraz ścianę od strony kaplicy.

1.7.79.

Zalewanie betonem stropu nad dużą salą katechetyczną.

15.7.79.

Wznoszenie murów bocznych kościoła górnego i szalowanie stropów. [...].

2. 8. 79.

O. Misjonarz z Zambii – Msze Św. i homilia o pracy misyjnej. Na budowie: zalewanie schodów do górnego kościoła [...].

19.8.79.

Na budowie: betonowanie dużej salki od str. Jezioran i słupa żelbetowego pod chór górnego kościoła. Zaszalowano przypory od str. gł. ołtarza.

2.9.79.

Na budowie: zalano betonem salkę i dolną zakrystię za częścią korytarza.

8.9.79.

Przyjazd Ks. Arcybiskupa i Bierzmowanie w Parafii.

9.9.79.

Pobył Ks. Arcybiskupa w naszej Parafii.

23.9.79.

Tynkowanie salek i instalacja elektryczna w salkach.

30.9.79.

Budowa: betonowano przypory przy gł. ołtarzu, strop nad wejściem do salek dolnego kościoła.

7.10.79.

Budowa: zabetonowanie stropu dolnego kościoła – zakończenie stropu z dn. 14. X Tradycyjny wieniec dla gorliwych budowlanych. Podziękowanie za ofiarny trud przy budowie.

19.10.79.

Dekretem Ks. Arcybiskupa przychodzi do Parafii trzeci wikariusz Ks. mgr Antoni Ratajczak, dotychczasowy wikariusz w Szamotułach. Budowa: tynkowanie dolnego kościoła.

23.10.79.

Wprowadzona została Msza Św. dla dzieci o godz. 11. 00 co niedzielę.

28.10.79.

Budowa: zalanie stropów pod prezbiterium i górną zakrystią górnego kościoła.

4. 11.79.

Budowa: wykończenie salek katechetycznych dla 4 katechetów. Od grudnia planuje się lekcje.

3.12.79.

Wprowadzenie Mszy Św. dla młodzieży o godz. 10. 00 w kaplicy co niedzielę.

4. XII Św. Barbary patronki Odlewników. Msze Św. w intencji pracowników Odlewni.

3.2.80.

Wyświetlenie filmów religijnych dla dzieci i starszych: „Marcelino, chleb i wino.”, „Pielgrzym”, „Quo Vadis”.

16.3.80.

Przeniesienie Krzyża Misyjnego na nowe miejsce pod kaplicą przed nowy kościół w budowie.

6.4.80.

Wykonano nowy ołtarz do dolnego kościoła.

11.5.80.

Dekanalna Pielgrzymka do Bram katedry Poznańskiej ze sztandarami. Budowa: betonowanie przypór od strony Nochowa.

13.6.80.

Odpust parafialny NSP Jezusa. Msze Św. odprawi Ks. Piotr Nowak. Kazanie wygłosi Ks. dr St. Hederzyński. [...].

20.7.80.

Budowa: wznoszenie bocznych ścian górnego kościoła. Betonowanie przypór od str. Helenek. Dalsza budowa ścian i przypór wokół kościoła. Tynkowanie korytarza do sal katechetycznych.

7.9.80.

[...] Budowa: ułożenie posadzki marmurowej w dolnym kościele.

14. 9. 80.

Pierwszy kurs przedmałżeński dla pragnących zawrzeć związek małżeński. Początek od niedzieli 28. 9. przez okres 5 niedziel.

21.9.80.

Pierwsza Pielgrzymka kobiet do Częstochowy.

8. 9. 80.

Otrzymano zezwolenie na budowę plebanii od p. Naczelnika M. Wawrzyniaka.

5.10.80.

[...] Budowa: montaż centralnego ogrzewania w salkach katechetycznych.

2.11.80.

Zakończenie instalowania centralnego ogrzewania w salkach katechetycznych w kościele.

1. 6. 81.

Uroczyste przyjęcie do grona ministrantów.

10. 6. 81.

Ks. Biskup Marian Przykucki odwiedzi Odlewnię, spotka się w niej z pracownikami i przed Odlewnią na parkingu odprawi Mszę Św., a po Mszy Św. poświęci Odlewnię. Dekretem władzy duchowej odchodzi z naszej parafii Ks. Andrzej Najdek i Ks. Ryszard Penczyński. Ks. A. Najdek do (?). Ks. Ryszard Penczyński do Nowych Skalmierzyc. Przychodzą: Ks. Grzegorz Przybysz z Grodziska i Ks. Tadeusz Osiński z Kobylina.

5.7.81.

Omówienie z pracownikami Mostostalu montażu konstrukcji stalowej nad kościołem.

19.7.81.

Wykonanie konstrukcji dachowej w Odlewni HCP w Śremie i dalsza budowa ścian przypór wokół kościoła.

23.8.81.

Przywóz konstrukcji dachowej z HCP.

20.9.81.

Wciągnięto elementy konstrukcji dachowej na pomost. Zalewanie przypór żelbetowych za gł. ołtarzem.



Wizyta arcybiskupa Jerzego Stroby w parafii NSP Jezusa w Śremie (rok ?)

15. 11. 81.

P. Stefan Nowak ofiarował dla kościoła wizerunek – rzeźbę Chrystusa Ukrzyżowanego.

13. 12.81.

Otrzymano dary z zagranicy (środki żywnościowe). Rekolekcje Adwentowe. Nauki będzie głosił o. Józef Jurczyga, misjonarz z Papui – Nowej Gwinej.

20.12.81.

Msza Św. o pokój dla naszej ojczyzny.

28.2.82.

[...] Otrzymano dary żywnościowe z Belgii.

10. 6. 82.

Uroczystość Bożego Ciała. [...]. Po raz pierwszy ulicami Osiedla.

27.6.82.

Budowa: Konstrukcja stalowa dachu zakończona. [...]

18.9.82.

Pokrycie dachu ukończy się do końca lipca. Po-tem tynkowanie wnętrza.

1.8.82.

[...] Dach spoczywa na przyporach żelbetowych.

25. 9. 82.

Pielgrzymka do Częstochowy z naszej Parafii.

15. 12. 82.

Msza Św. koncelebrowana za ofiary stanu wojennego z naszej Ojczyzny.

19.12.82.

[...] I Msza Św. w górnym kościele.

13.2.83.

Dekretem Władzy Duchownej 19. II odchodzi do Poznania, do Parafii św. Marcina, Ks. Szczepan Przybysz.

20.2.83.

Serdecznie witamy Ks. Krzysztofa Rzeszowskiego z Par. Mokronos. [...].

22.5.83.

Wybrano 100 mężczyzn do utrzymania porządku w czasie przyjęcia Papieża w Poznaniu.

24.5.83.

Pielgrzymka kapłanów naszej Parafii na Świętą Górę.

29.5.83.

Uroczystość I Komunii Św. dzieci, pierwsza w górnym kościele.

19.6.83.

Piesza pielgrzymka naszej Parafii do Poznania na spotkanie z Papieżem. Do naszej pielgrzymki dołączą pielgrzymi z Gostynia.

26.6.83.

Decyzją Władzy Duchownej odchodzą z naszej Parafii Ks. Antoni Ratajczak do Zbąszynia i Ks. Tadeusz Osiński do Poznania (Paraf. św. A. Kostki). Przychoǳą do nas Ks. Edward Przybylak z Poznania z Paraf. Św. Anny i Ks. Rafał Czerniejewski z Sierakowa.

26.2.84.

Zakończenie zbiórki na budowę naszego kościoła w Parafii św. Ducha. [...]. Ofiarowano wotum wyrzeźbione przez p. Berdyszaka dla kościoła św. Ducha.

11.3.84.

Pierwsze gorzkie Żale z kazaniem, które głosić będzie Ks. Rzeszowski.

24.6.84.

Do Parafii przybył Ks. wik. M. Podlarz z Par. Nowe Skalmierzyce.

2.9.84.

Dożynki Parafialne z wieńcami.

6.10.84.

Pielgrzymka do Lichenia i Niepokalanowa.

16.6.85.

Decyzją Władzy Duchownej 29.6 odchodzi od nas Ks. Krzysztof Rzeszowski do Parafii Nawiedzenia NMP w Poznaniu. Przybył Ks. Eugeniusz Leosz z Para. w Jutrosinie.

4.8.85.

5.8.85. pielgrzymka ze Szczecina przybyła do Śremu. Mieszkańcy przenocowali pielgrzymów. 6.8. Msze św. Prymicia Ks. Pielgrzyma i udali się w dalszą drogę do Borku i dalej do Częstochowy. Witamy w naszej parafii Ks. Zbigniewa



Władysław Kozielec czyta Pismo Św. podczas mszy z okazji poświęcenia Odlewni Żeliwa w Śremie. 1981 r.

Mikołajczyka. Zamieszka na ul. Zielonej. Będzie pomagał u nas w pracy duszpasterskiej.

11.8.85.

Pielgrzymka do Rzymu w dniach od 10-24.7. ofiarowała Ojcu Św. kielich z napisem wyrażającym wdzięczność za kamień węgielny od Ojca Św., który przywiózł w 1979 r. [...].

6.10.85.

[...] Rozpoczęto budowę podjazdów przy wejściu do górnego kościoła.

Wykorzystane fotografie udostępniła mi p. Halina Włodarczak, córka Władysława Kozielec. Wszystkie znajdują się w maszynopisie jego wspomnień zatytułowanym *50 lat służby przy ołtarzu* (1935 r.– 1985 r.). Za możliwość ich reprodukcji oraz lektury kroniki wraz z publikacją wybranych wpisów, składam jej serdeczne podziękowania.

Gabriela WASIELEWSKA

10 lat Galerii Wybitnych Absolwentów LO w Śremie

Wartością każdej szkoły są jej uczniowie; później absolwenci. To ich sukcesy i dorobek tworzą chlubną historię szkoły. Nasza szkoła - Liceum Ogólnokształcące im. gen. Józefa Wybickiego w Śremie, w swoich długich dziejach szczyci się ogromną rzeszą wybitnych postaci. Stowarzyszenie Absolwentów Szkoły podjęło inicjatywę stworzenia Galerii Wybitnych Absolwentów, by pokazać najlepszych z nas. Pomysł zrodził się w 2011 roku. Projekt opracował artysta plastyk Tadeusz Wełyczko. Dzięki wizjonerskiemu pomysłowi artysty, pobyt wybitnych Absolwentów w naszej szkole miał być utrwalony umieszczeniem ich biogramów na ścianach korytarzy wewnątrz budynku oraz imiennych medalionów w chodniku przed budynkiem. W ten symboliczny sposób mają być trwale obecni w życiu szkoły i śremskiej społeczności, dając poczucie dumy ze wspólnych korzeni.

Otwarcie Galerii zaplanowano na jubileusz 155-lecia szkoły w dniu 8 kwietnia 2013 roku. Na inaugurację zostało wybranych sześciu wybitnych Absolwentów z najstarszego okresu historii szkoły, a na uroczystość zaproszono absolwentów, którzy zdawali maturę 50 i więcej lat temu czyli „Matura 50+”.

Od tego czasu minęło 10 lat i dzisiaj w Galerii umieszczonych jest 15 wybitnych Absolwentów:

prof. dr ANTONI KALINA – absolwent z 1867 roku, językoznawca i slawista, wykładowca akademicki, rektor Uniwersytetu we Lwowie.

ks. PIOTR WAWRZYŃIAK – absolwent z 1867 roku zwany „Królem Czynu”. Wielki społecznik, patron spółek zarobkowych, założyciel m.in. Banku Ludowego, szkoły dla młodzieży rzemieślniczej, parku miejskiego i wielu stowarzyszeń i organizacji.

OSCAR CALLIER – absolwent z 1869 roku, filolog, autor słowników polsko-angielskiego i angielsko-

sko-polskiego, polsko-niemieckiego i polsko-francuskiego.

dr LUDWIK MYCIELSKI – absolwent z 1873 roku, dr filozofii, wielki patriota, poseł, działacz społeczny i gospodarczy.

prof. dr HELIODOR ŚWIĘCICKI – absolwent z 1873 roku, lekarz, naukowiec, dr honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego i Poznańskiego. Przyczynił się do powołania Uniwersytetu Poznańskiego i był jego pierwszym rektorem.

dr med. WINCENTY STYCZYŃSKI – absolwent z 1883 roku, lekarz, działacz niepodległościowy na Górnym Śląsku, zamordowany przez niemieckiego bojówkarza.

dr med. FRIEDRICH SCHAEFER – absolwent z 1886 roku, chirurg, prekursor syjamskiego systemu ochrony zdrowia, twórca pierwszego publicznego szpitala w Bangkoku.

prof. dr EUGEN MITTWOCH – absolwent z 1894 roku, orientalista, filolog, badacz języków klasycznych Bliskiego Wschodu, także kultury etiopskiej i żydowskiej. Jeden z twórców nowoczesnych studiów orientalistycznych w Europie.

prof. dr KAZIMIERZ IDASZEWSKI – absolwent z 1898 roku, inżynier elektromechanik, wykładowca akademicki, autor wielu projektów zasłużony dla Politechniki Wrocławskiej.

prof. dr STANISŁAW ZWIERZCHOWSKI – absolwent z 1900 roku, inżynier mechanik, konstruktor turbin wodnych i pomp, aktywny działacz polonii amerykańskiej.

ks. dr EDMUND MAJKOWSKI – absolwent z 1912 roku, historyk, numizmatyk, bibliotekoznawca, archiwariusz, twórca Poznańskiego Archiwum Archidiecezjalnego. Uczestnik Powstania Wielkopolskiego.

WITOLD HULEWICZ – absolwent z 1918 roku, dziennikarz, publicysta, poeta, tłumacz i wydawca, współtwórca Polskiego Radia i Teatru Wyobraźni.



Otwarcie Galerii Wybitnych Absolwentów LO, 2013 r.

Uczestnik Powstania Wielkopolskiego. Działacz polskiego podziemia rozstrzelany przez hitlerowców.

prof. dr TEOBALD OLEJNIK – absolwent z 1925 roku, inżynier mechanik, prorektor Politechniki Poznańskiej, twórca i dyrektor Instytutu Organizacji i Zarządzania.

mgr JERZY JURGA – absolwent z 1958 roku, artysta malarz, twórca kusz, historyk sztuki, nauczyciel plastyki. Reaktywował działalność śremskiego Bractwa Kurkowego.

prof. dr h.c.m. TADEUSZ MALIŃSKI – absolwent z 1964 roku światowej sławy naukowiec i wynalazca w nanomedycynie i nanotechnologii. Jego badania przyspieszyły rozwój nowych metod leczenia wielu chorób współczesnej cywilizacji. Nominowany dwukrotnie do Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny i chemii.

Ponadto w ubiegłym roku, który był rokiem gen. Józefa Wybickiego, umieszczone zostały w Galerii dwie tablice z historią szkoły. W ten sposób Stowarzyszenie Absolwentów upamiętniło 100. rocznicę nadania szkole imienia Generała Józefa Wybickiego.

Funkcjonowanie Galerii odbywa się według ściśle określonych reguł. Projekt dokładnie określa wydruk i oprawę biogramów, odlewanie w brązie me-



Otwarcie Galerii Wybitnych Absolwentów LO, 2013 r.

dalionów oraz okolicznościowe wydawnictwo. Starannie dobierana jest osoba wygłaszająca laudację, często związana z profesją Wybitnego, czasem z kręgu rodziny czy znajomych. Dzisiejszy ceremoniał powiązany jest z tradycyjnym wręczaniem znaczków szkoły, uczniom rozpoczynającym naukę w Liceum.

Liczna grupa absolwentów z udokumentowanym już dorobkiem w różnych dziedzinach nauki, życia gospodarczego, kulturalnego czy społecznego, wciąż czeka na umieszczenie w Galerii. Grupa ta powiększa się o ciągle odkrywane sukcesy zarówno dawnych jak i dzisiejszych absolwentów. Dlatego, każdego roku, w dniu jubileuszu szkoły, umieszczamy w Galerii kolejnego Wybitnego Absolwenta. Umieszczanie większej ilości ogranicza skromny budżet Stowarzyszenia. Wniosek o nadanie tytułu można zgłaszać do Zarządu Stowarzyszenia, który powołuje kapitułę i po uzyskaniu pozytywnej opinii przedstawia Walnemu Zebraniu Członków Stowarzyszenia. Z czasem wypełnimy ściany korytarzy biogramami, a chodnik wypełnią medaliony upamiętniające naszych wybitnych Absolwentów. To tym chodnikiem codziennie zmierzali i zmierzają nadal do naszej Alma Mater uczniowie. Każdy z nich ma szansę znaleźć się w Galerii Wybitnych Absolwentów.



Otwarcie Galerii Wybitnych Absolwentów LO. Ściana z biogramami, 2013 r.

prof. dr h.c.m. Tadeusz Maliński

1946 - ∞

nauczyciel, wynalazca w nanomedycynie i nanotechnologii,
absolwent Liceum Ogólnokształcącego w Śremie z 1964 r.

Urodził się w 1946 roku w Śremie, gdzie w 1964 r. zdał maturę
w Liceum Ogólnokształcącym im. Gen. Józefa Wybickiego.
Ukończył Wydział Chemii Uniwersytetu A. Mickiewicza w 1969 r.,
a doktorat obronił w 1975 r. na Politechnice Pomorskiej.
Zaproszony przez Uniwersytet Michigan w 1989 r. wyjechał do USA gdzie jako profesor
kierował biochemiczną katedrą związaną do Uniwersytetów Houston i Garland.
W roku 2000 objął zaproszoną imienną profesurę Marvin Wise Chair of Distinguished
Professor Uniwersytetu Ohio. Używał międzynarodową słowną na głośnikach nanomedycyny
nanomedycyny do badania i diagnostyki molekularnej (zwanej obecnie nanomedycyną).
Był pierwszym na świecie, który zmierzył w pojedynczej komórce tenk atom - cząsteczkę białka.
Odkrył nowe mechanizmy białka serca, mechanizm bicia, migotania, epilepsji, a także cukrzycy.
Choroby AIDS, Parkinsona, Alzheimera, procesy starzenia, alant mózgu, zawału serca.
Odkrył nowe witaminy (D3) w regeneracji skóry oraz metody wykrywania grzyba i cięciwy.
Badania profesora Malińskiego przyczyniły się do nowych metod leczenia wielu chorób
współczesnej cywilizacji i mogą służyć znacząco dla zainicjowania zdrowego życia.
Profesor Maliński wykładał na prelekcjach uniwersyteckich wykładając:
Harvard, Stanford i Columbia. Opublikował ponad czterysta publikacji naukowych i patentów
w najbardziej renomowanych czasopiśmie naukowych (J. Am. Chem. Soc. i J. Genet.).
Otrzymał czterdziestkę nagród w skali krajowej i zagranicą.
Nagrody i wyróżnienia:
Pierwszy, Albrecht Kricheldorf Award, International Academy of Cardiology, Boston.
Mistrzostwo do Albert Einstein World Award of Science, International Association
do Nagrody Nobla w medycynie i chirurgii (zasiad do President's National Award in Science, USA,
jest członkiem Polskiej Akademii Nauk, Polskiej Akademii Umiejętności i Honorowym
Członkiem Polskiego Towarzystwa Lekarskiego.
Doktor Honoris Causa Gdańskie Uniwersytet Medyczny, Politechnika Pomorska,
Uniwersytet A. Mickiewicza i Uniwersytet Medyczny w Poznaniu.
Zastosowanie nanotechnologii w medycynie przyczyniło się do powołania Profesora Malińskiego
do grona wybitnych ekspertów w badaniach obrazu mikroskopów histologicznych i fluorimetrycznych.
Profesor Tadeusz Maliński jest ambasadorem Polski.
Stworzył pierwszy na świecie Międzynarodowy Amerykański w Orchard Lake, USA, za co otrzymał
najwyższe polskie nagrody Medal Pro Merito.
Szczególne uznanie rodzinnego miasta nagrodzone zostało nadaniem
Tytułu Honorowego Obywateli Śremu, a odprężyć szpital nosi jego imię.



Śrem, dnia 9 czerwca 2018 roku.



Okolicznościowe wydawnictwo poświęcone Tadeuszowi Malińskiemu.

Barbara SIWIŃSKA

Farmaceuta Leon Masiak we wspomnieniach córek

Kłaniaj się córko ludziom maleńkim, bo to są ludzie ogromni, żebyś wiedziała

Julian Tuwim

W 1959 roku rozpoczęłam swoją lekarską praktykę w Śremie. Pamiętam, kierowałam pacjentów do apteki pana Romana Logi na śremski Rynek i do pana Leona Masiaka, który prowadził aptekę w Dolsku także na Rynku.

Dziś, w słoneczny marcowy dzień 2023 roku jestem goszczona przez panie Teresę Barbarę Duryńską i Marię Masiak, córki założyciela Apteki w Dolsku. Przytulne mieszkanie, w nim prawie stuletnie meble, pieczołowicie utrzymane, okazały księgozbiór, na ścianach rodzinne portrety, dyplomy, karykatury, obrazy, kilimy, wazony i wazoniki, pamiątki. Tak, tu czas się zatrzymał. Mam wrażenie, że patrzą na mnie wieki... Poddaję się atmosferze domu i słucham wspomnień. Zapisuję.

„Nasz Tata Leon Masiak urodził się w 1903 roku w Grotnikach koło Leszna. Rodzice Ojca to Paweł Masiak, nauczyciel, pochodzący z Pomorza i mama Helena z domu Mańczyńska, skoligacona po kądzieli z „tymi” Wagnerami, stąd wszyscy w rodzinie byli muzykalni.

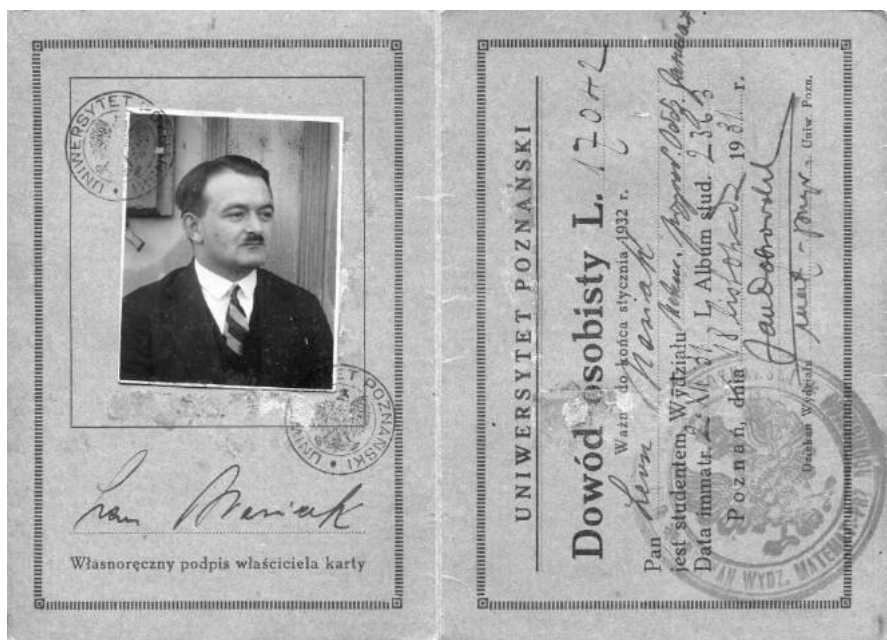
Paweł Masiak miał dwie żony: Helenę Mańczyńską, z którą mieli sześcioro dzieci oraz Wandę Idaszewską córkę Michała Idaszewskiego, nauczyciela z Nochowa, z którą mieli dwoje dzieci: Michała Masiaka, późniejszego profesora farmakologii AM we Wrocławiu, wynalazcę Linomagu stosowanego do dzisiaj, oraz Aleksandra Masiaka absolwenta Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie. W ten sposób połączyły się te dwie rodziny: Masiaków i Idaszewskich. Matka Romany Masiakowej była siostrą Wandy Idaszewskiej, która wyszła za Pawła Masiaka. Można powiedzieć, że Leon Masiak poznał swoją żonę Romanę na weselu ojca.

Rodzina była duża, tata miał siedmioro rodzeństwa. Wraz z bratem Xawerym, został wysłany do gimnazjum księży Jezuitów do Głogowa,

gdzie obaj doskonale opanowali język niemiecki. Maturę, Leon zdawał w 1925 roku w Gimnazjum imienia Generała Józefa Wybickiego w Śremie, by następnie studiować na Wydziale Farmaceutycznym Uniwersytetu w Poznaniu. Pierwsza posada w roku 1933, to wspomniana już apteka pana Romana Logi w Śremie. W tym też roku Leon Masiak ożenił się z Romaną z domu Kiepińską, dwa lata młodszą od siebie. Żona ukończyła szkołę handlową w Poznaniu i pracowała w banku cukrowniczym. Zapewne doskonale się w niej spełniała bowiem do końca życia wracała wspomnieniami do tego okresu. Zamieszkali w Śremie, na ulicy Poznańskiej, w domu urzędniczym, w którym na świat przyszły dwie córki: Urszula w 1934 roku i Teresa Barbara w 1935 roku. I tu mała dygresja. Gdy w czerwcu 2018 roku na 160-lecie Liceum zjechali się tłumnie absolwenci, z klasy Teresy Barbary przybyło dwóch kolegów: Mikołaj Witczak i Rysiu Bartz. Wspominając dawne czasy uświadomili sobie, że wszyscy troje urodzili się w tym samym roku, w tym samym urzędniczym domu, na tym samym piętrze, a poród odbierała ta sama położna. To były czasy!

Już po 2 latach, w 1935 roku okazało się, że jest wolna posada w aptece w Dolsku. Rodzina przeniosła się tam, zajmując wielki dom przy Rynku 16, obecnie mocno już zdewastowany. Mieszkali na piętrze, a na parterze była apteka. W 1937 roku Tata kupił własny dom, gdzie obecnie mieszkamy. Teraz Plac Wyzwolenia 20, dawniej Rynek 20. Na zdjęciu sprzed wojny widać, że okna otwierały się na zewnątrz. Parter zajmowała wielka drogeria i niemiń wielka apteka, rodzina mieszkała na piętrze i delektowała się pięknym ogrodem. Oczywiście do pomocy była i niania, i gosposia, a także pracownik gospodarczy- pan Szklany. Było dostatnio. W tym domu urodzili się dwie następne córki, Maria w 1937 roku i Janina, w 1944 roku.

We wrześniu 1939 roku po wkroczeniu wojsk niemieckich do Polski razem z innymi uciekali-



Dowód osobisty studenta Leona Masiaka. Fot. ze zbiorów rodzinnych

śmy na wschód. Tata zamówił podwodę oraz bryczkę, załadował żonę, trójkę dzieci, swoją siostrę z niemowlęciem, mieszkającego z nami niewidomego (zaćma) pradziadka Michała, trochę dobytku i skierowaliśmy się w stronę Kalisza. Dotarliśmy tylko do Czarnotek i po kilku dniach bytowania w bardzo trudnych warunkach wróciliśmy do Dolska. I tu niespodzianka – rodzinny dom nie był splądrowany! Czas wojny rodzina spędziła w Dolsku.

Jakże różne były wojenne losy członków rodziny. Brat Ojca, Xawery został wcielony do wojska polskiego. Po kapitulacji wpadł na krótko do Dolska by zmienić mundur na cywilne ubranie, następnie przedostał się przez południową granicę do Armii Andersa, walczył pod Monte Casino. Przeżył. Razem z innymi żołnierzami po wojnie znalazł się w Anglii skąd wysłany do Afryki zachorował. Przetrasportowany do Szkocji zmarł w 1946 roku. Został pochowany na cmentarzu wojskowym w Perth, nad rzeką Tay. A wojenne losy braci Mamy? Marian Kiełpiński został w pierwszych dniach wojny rozstrzelany pod Bydgoszczą. Przed wojną razem ze swoim kuzynem adwokatem prowadzili działalność polonizacyjną zatem był na liście wrogów narodu niemieckiego. Adam Kiełpiński, przed wojną ra-

diotechnik, dawny pracownik Siemensu, miał fabrykę radioodbiorników w Łodzi, w czasie wojny pracował w warsztacie rzemieślniczym. Wojnę przeżył. Najmłodszy brat Mamy, Witold Kiełpiński, przedwojenny właściciel fabryki jedwabiu w Milanówku, bardzo zasobny, wykorzystując swoje biznesowe znajomości z fabrykantami austriackimi uratował wielu żydów, ale niestety nie było wśród nich własnej ukochanej. Wojnę przeżył. Zapamiętany przez rodzinę jako wspaniały dobruśny krewny”.

A jak potoczyło się życie czterech córek państwa Masiaków? Urszula osiadła we Wrocławiu, pracowała w aptece, założyła rodzinę, urodziła jednego syna. Teresa Barbara po ukończeniu na Politechnice Wrocławskiej Wydziału Budownictwa pracowała najdłużej w Biurze Studiów i Projektów Budownictwa we Wrocławiu, założyła rodzinę, urodziła trójkę dzieci – 2 synów i córkę. Obecnie mieszka w domu rodzinnym w Dolsku. Maria stale mieszkała z rodzicami w Dolsku, pracowała 36 lat w aptece. Janina ukończyła studia medyczne we Wrocławiu, jest internistką reumatologiem, nadal pracuje w Niemczech i Dzierżonowie ciesząc się nieposzlakowaną opinią wśród pacjentów. Założyła rodzinę. Ma dwoje dzieci z których syn to prawnik, córka aktorka. Ojciec

kierował dzieci do uczelni wrocławskich nie bezpodstawnie. Uważał bowiem, że rodzina powinna się wzajemnie wspierać. We Wrocławiu takim oparciem był nie byle kto tylko profesor Kazimierz Idaszewski, zwany Ojcem Politechniki Wrocławskiej. A co to za postać?! Urodzony w Nochowie syn wiejskiego nauczyciela, absolwent Królewskiego Gimnazjum w Śremie z 1898 roku, studiował na Wydziale Mechaniczno Elektrycznym Politechniki w Brunszwicku, tam się doktoryzował. Nagrodę za pracę doktorską przeznaczył na ufundowanie Katedry Pomiarów Elektrycznych we Lwowie. Naukowiec, profesor i dziekan Politechniki Lwowskiej, po II wojnie światowej profesor zwyczajny Politechniki Śląskiej i Wrocławskiej zorganizował od podstaw Wydział Mechaniczno-Elektryczny Politechniki Wrocławskiej, blokując przekazanie przyrządów specjalistycznych do Gliwic. Jako ciekaw może obeszczę popiersie profesora w gmachu Politechniki Wrocławskiej i przejść się Jego Imienia wrocławską ulicą. Wspomnę tylko, że profesor został umieszczony w Galerii Wybitnych Absolwentów Śremskiego Liceum w grupie 6 absolwentów na otwarcie Galerii w 2013 roku na 155 lecie szkoły. Ale to temat na oddzielny artykuł.

„Znajomość języka niemieckiego przez Ojca przydała się w czasie II wojny światowej. Był wykorzystywany jako tłumacz anonimów, które kierowali do władz niemieckich sąsiedzi na sąsiadów czyli Polacy na Polaków. (sic!) W tych okolicznościach pomógł Ojcu zawód farmaceuty. Wiedział, że naczelnik żandarmów lubił alkohol. Ojciec przyrządzał różne nalewki, częstował nim naczelnika i w ten sposób udawało się większość anonimów zniszczyć. Drastyczna sytuacja miała miejsce, gdy żandarmi wśród Polaków poszukiwali zabójcy jakiegoś ważnego Niemca. Zebrano na Rynku zakładników, także Ojca. Ponieważ nikt nie zdradził zabójcy, żandarmi wyznaczyli co dziesiątego mieszkańca do rozstrzelania. Jednym z nich miał być Ojciec. Wówczas burmistrz Knapie i naczelnik policji wybawili Ojca tłumacząc, że jest im potrzebny jako tłumacz. Ojca zwolniono. Natomiast po wojnie, gdy tzw. żołnierze wyklęci zrobili zamach na obywatela zajmującego się reformą rolną czyli upaństwowieniem ziemi, posądzenie padło na Ojca. Został bezpodstawnie aresztowany i osadzony w więzieniu w Śremie, [córkę nie pamiętają na jak długo]. Jedyną poszlaką było posiadanie przez Ojca broni. W knajpie przy Rynku (u Rózi?) w Dolsku

mieszkańcy popijali piwko i nie tylko, swobodnie rozmawiali. Jeden z obywateli za wypowiedziany tam publicznie dowcip o Stalinie odsiedział w więzieniu 5 lat. Może to był pan Żakowski – nie pamiętamy. Ojciec po II wojnie światowej odzyskał aptekę, ale na krótko. Upaństwowiono ją w 1951 roku. W niej nadal pracował ale już jako kierownik nie właściciel. Nie lubił pracy „papierkowej”, konieczne comiesięczne sprawozdania do Cefarmu odkładał na ostatnią chwilę, często pracując nocą. Korzystał wówczas chętnie z pomocy córki Teresy Barbary. Wspólne obiady rodzinne należały do niepisanego obowiązku. Raz tylko zabrakło ojca przy obiedzie. Córka zastała ojca na plebanii; przy jednym pianinie Ojciec, przy drugim proboszcz Leonard Kurpisz, w czasie wojny więzień Dachau, między nimi mszalne wino – grali na cztery ręce. Chwila zapomnienia. Dla środowiska był w tamtych czasach niezbędny, bowiem służył ludziom o każdej porze dnia i nocy, także zastępując weterynarza, którego nie było w okolicy. Wezwany kiedyś do kolki brzusznej konia, jadąc rowerem błotnistą polną drogą miał wypadek, złamał nogę, zresztą nie po raz pierwszy. Przyjaciele wykorzystali te fakty wywieszając nad apteką na Prima Aprilis napis *Apteka pod kulawą nogą*. Jako człowiek był bardzo lubiany, towarzyski, był smakoszem, preferował dziczyznę. Lubiał życie towarzyskie, które w tamtych latach skupiało się między dwoma „knajpami” na Rynku. Na pytanie gdzie jest Tato mówiło się szyfrem: jest na „kalewo” lub na „kaprawo”. Kochał operę, lubił muzykę, czytywał stopy czasopism, dowcipkował. Społecznie udzielał się w Związku Kombatanów oraz w Kółku Łowieckim.

Nieoczekiwanie zachorował. Nie pomogły znajomości. Leczony wpierw w II Klinice Chorób Wewnętrznych profesora Falkiewicza, przeniesiony do II Kliniki Chirurgii AM profesora Wiktora Brossa we Wrocławiu, zmarł w 1965 roku. Żona Romana zmarła w 2010 roku mając 105 lat. Oboje pochowani na cmentarzu parafialnym w Dolsku.” Niewątpliwie długo przetrwa pamięć o pięknej postaci nie ubiegającego się o zaszczyty, a szukającego uczciwie i bez zastrzeżeń pracy, człowieka pracy.

Paniom Teresie Barbarze Durzyńskiej i Marii Masiak dziękuję za godziny wspomnień i pyszną kawę.

Tadeusz RZEPKA

Moje wspomnienie 28 czerwca 1956 roku w Poznaniu

W drugiej połowie czerwca 1956 roku odbywały się wznowione po latach przerwy Międzynarodowe Targi Poznańskie. W związku z tym, w mieście przebywało kilka tysięcy cudzoziemców – wystawców i kupców. W tym czasie trwała również sesja egzaminacyjna (byłem studentem drugiego roku Wyższej Szkoły Ekonomicznej), podczas której mieliśmy zdawać końcowy egzamin z „marksizmu-leninizmu”. Przedmiot o nazwie „marksizm-leninizm” wykładany był (zajęcia obowiązkowe) na wszystkich wyższych uczelniach i na wszystkich kierunkach studiów. W przeddzień 28 czerwca dowiedziałem się od kolegi, którego mama pracowała w Zakładach Cegielskiego (wówczas imienia Stalina), że robotnicy przygotowują się tam do strajku, ponieważ zmienione właśnie normy miały spowodować obniżenie ich wynagrodzeń. Miał to być zatem strajk z przyczyn ekonomicznych. Strajk wydawał mi się tak nieprawdopodobny i nie pasujący do ustroju w którym „rządzi klasa robotnicza”, że w informacje przenikające z Zakładów Cegielskiego nie uwierzyłem. Rano, 28 czerwca poszedłem na przystanek tramwajowy, aby pojechać na egzamin. Na przystanku zastałem grupkę ludzi z ożywieniem rozmawiających na temat zapowiadanego strajku u Cegielskiego oraz o tym, że strajkują już tramwajarze i tramwaje nie kursu-

ją. Co chwilę któryś z zebranych ruszał pieszo w kierunku śródmieścia. Ja również poszedłem. Na Placu Mickiewicza (wówczas Stalina) zebrał się już tłum. W gmachu Wyższej Szkoły Ekonomicznej spotkałem się z koleżankami i kolegami oczekującymi na egzamin. Po pewnym czasie z ulicy zaczęły dobiegać coraz głośniejsze okrzyki i śpiewy. Zaciekawiony, wraz z kilkoma kolegami poszedłem zobaczyć co się dzieje. W czasie, gdy przebywaliśmy wewnątrz gmachu, na plac przyszły kolejne grupy robotników. Dołączyliśmy do tłumy, który gęsto wypełniał już przestrzeń od Mostu Uniwersyteckiego do ulicy Kościuszki. Taki tłum widziałem po raz pierwszy w życiu. Robotnicy przyszli prosto z pracy, ubrani w dreluchy robocze, często nie umyjni, po nocnej zmianie. Ludzie zachowywali się spokojnie. Uważano nawet by nie wchodzić na trawniki. Zebrani robili wrażenie, jak gdyby na kogoś czekali. Staliśmy tak dłuższy czas. Jednakże nikt z przedstawicieli władz nie odważył się przemówić do zebranego tłumy. Nie było zresztą warunków ku temu, gdyż nie było żadnego nagłośnienia. Nad tłumem nikt nie panował. Nie było widać przywódcy zgromadzenia. Samorzutnie pośród oczekujących wyodrębniły się małe przypadkowe grupki. W grupkach śpiewano pieśni patriotyczne i kościelne. Śpiewano więc *Rotę*, *Serdeczna Matko opiekunko ludzi*



i inne. Wznoszono również okrzyki: „wolności” i „chleba”. Domagano się wypuszczenia zatrzymanych przywódców strajku. Krążyły plotki o miejscu zatrzymania organizatorów strajku. Mówiono, że zatrzymano ich w więzieniu na Młyńskiej lub w Urzędzie Bezpieczeństwa przy ulicy Kochanowskiego. Wzywano by pójść ich uwolnić. Po pewnym czasie na plac przyjechał samochód z głośnikami kolumnowymi. Z samochodu próbowali przemawiać różni ludzie. Zasięg głośników nie był wielki. Stojący dalej nie słyszeli. W pewnej chwili zauważyłem uciekającego człowieka i goniący go tłum. Później dowiedziałem się, że był to sekretarz propagandy w Komitecie Wojewódzkim Partii. Jako jedyny z działaczy partyjnych odważył się przemówić do tłumu, lecz został wygwizdany i ratował się ucieczką. Widziałem, jak biegnie od strony samochodu z głośnikami, poprzez skwer naprzeciw dzisiejszego Uniwersytetu Ekonomicznego do Dyrekcji Kolei. Tam udało mu się wejść do środka gmachu, a uzbrojeni Strażnicy Ochrony Kolei powstrzymali tłum przed drzwiami. Grupa kolegów, z którą wyszedłem, przemieszczając się wśród tłumu, pogubiła się. Zostałem z jednym z kolegów, z którym później przez dłuższy czas wspólnie obserwowaliśmy wydarzenia. Na Placu Mickiewicza sytuacja się nie zmieniała. Poszliśmy

więc ulicą Święty Marcin (wówczas Armii Czerwonej). Dochodząc do kościoła św. Marcina zauważyliśmy, jak od strony Placu Wiosny Ludów zbliża się tłum, który kroczy całą szerokością ulicy. Byli to robotnicy zakładów leżących po wschodniej stronie Warty. Widok robił wrażenie. Ludzie – kobiety i mężczyźni, ubrani byli w ubrania robocze i drewniaki, których głuchy stukot wypełniał całą ulicę. Na czele szła grupa młodych mężczyzn niosących w podniesionych rękach, płasko nad głowami, ogromną polską flagę. Przed nimi biegło kilkunastu małych chłopców. Dzieci widziałem również później, na ulicach podczas strzelaniny. Z tłumem wróciliśmy przed Zamek. Przechodząc obok ówczesnego Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, zauważyliśmy demonstrantów, którzy z okien górnych pięter gmachu wyrzucali różne papiery. Przed Zamkiem, na masztach wisały flagi krajów, które uczestniczyły w Międzynarodowych Targach Poznańskich. Demonstranci zrywali flagi ZSRR. Poszliśmy dalej. Na plac, w miejsce, gdzie obecnie stoją krzyże, przyjechał samochód osobowy z zamontowanymi na dachu głośnikami. Siedzący w samochodzie przez głośniki nawoływali by pójść do więzienia na Młyńską i uwolnić przetrzymywanych tam podobno członków Komitetu Strajkowego. Część

zebranych na placu ruszyła za samochodem zmierzającym w kierunku ul. Młyńskiej. Ja poszedłem do biura, w którym pracował mój brat. Biuro to mieściło się przy ulicy Mickiewicza w pobliżu skrzyżowania z ulicą Słowackiego. Przechodząc obok Komendy Milicji, która zajmowała budynek należący obecnie do UAM, położony pomiędzy Aulą Uniwersytecką, a torami kolejowymi nie zauważyłem, by demonstranci próbowali atakować milicję, milicja też nie występowała wtedy przeciwko demonstrantom. Posterunki milicji, które rozbrajano nie stawały również oporu. W biurze, w którym pracował mój brat dowiedziałem się, że przybiegło kilku robotników i okrzykami „chodźcie z nami” zachęcało do pójścia na manifestację pod Zamek. Rzeczywiście, pracownicy zaczęli pakować swoje rzeczy i wychodzić. Wyszedłem na ulicę Mickiewicza. Przy narożniku z ulicą Dąbrowskiego, tam gdzie obecnie mieści się ZUS zebrał się tłum. Wszyscy obserwowali uwijających się po dachu ludzi, którzy przewracali i zrzucaли na jezdnię maszty stacji zagłuszającej audycje radia Wolna Europa i BBC. Z górnych pięter wyrzucano również na bruk aparaturę zagłuszającą. W tym momencie usłyszałem odgłosy strzałów. Dobiegały one od strony, gdzie mieścił się gmach Urzędu Bezpieczeństwa. Ulica Dąbrowskiego na odcinku od Mickiewicza do Kochanowskiego znalazła się w polu ostrzału. Dlatego, wraz z innymi poszedłem na ulicę Słowackiego i dalej do narożnika Kochanowskiego z ulicą Dąbrowskiego. Było to miejsce osłonięte przez wysokie domy, nie zagrożone bezpośrednim ostrzałem z Urzędu Bezpieczeństwa, a znajdujące się tuż obok „pola walki”. Mogłem, tak jak bardzo wielu innych obserwować co się dzieje. Na połączeniu z ulicą Dąbrowskiego, w poprzek ulicy Kochanowskiego leżał przewrócony tramwaj, za którym kryli się ludzie. Mnóstwo ludzi stało również w bramach domów przy ulicy Dąbrowskiego. Od strony Urzędu Bezpieczeństwa padały strzały. Natomiast z dachów i innych „stanowisk strzeleckich” zlokalizowanych w sąsiednich domach, do gmachu UB strzelali cywile. Do strzelających coraz to przyłączali się uzbrojeni młodzi ludzie. Oblężenie miało charakter żywiołowy. Nie zauważyłem by oblegającymi ktoś dowodził. W wyniku strzelaniny było coraz więcej rannych. Zaraz podbiegały do nich pielę-

gniarki, opatrywały bezpośrednio na ulicy, nie raz pod ostrzałem. Z pomocą stojących w bramach mężczyzn przenoszono rannych do karet pogotowia oraz prywatnych samochodów osobowych i odwożono do szpitali. Ludzie byli wściekli. Pomstowali na władze, Partię i Urząd Bezpieczeństwa. Co pewien czas ulicą Kochanowskiego w stronę gmachu UB, z którego strzelano wyruszała grupa ludzi, głównie kobiet niosąc zakrwawiony sztandar. W tej grupie niezwykłą odwagą wyróżniały się tramwajarki. Te demonstracyjne przemarsze wiązały się zwykle z ofiarami. Gdy strzelanina ustawała, ludzie wychodzili z bram i „zaglądali” w ulicę Kochanowskiego, stronę Urzędu Bezpieczeństwa i w razie potrzeby biegli po rannych, którzy pozostali jeszcze na ulicy. Gdy strzelanina ponownie wybuchała, ludzie znowu kryli się w bramach. W pewnej chwili ogólną uwagę zwróciło kilku mężczyzn ubranych w mundury tramwajarskie, toczących od strony zajezdni przy ulicy Gajowej beczki z benzyną lub olejem napędowym. Beczki te próbowali toczyć dalej ulicą Kochanowskiego w stronę Urzędu Bezpieczeństwa. Chcieli podpalić gmach UB. Nie widziałem tego, ale chyba udało im się ten plan zrealizować, bo pokazywano później zdjęcia z osmalonym narożnikiem budynku. Co pewien czas pojawiali się nowi młodzi ludzie z bronią, prawdopodobnie zdobytą w wyniku rozbrajania kolejnych posterunków milicji i zajmowali stanowiska strzeleckie naprzeciw siedziby UB. W dalszym ciągu wszystko działo się żywiołowo. Wokół walczących, samorzutnie powstał pierścień zabezpieczający przed ingerencją z zewnątrz. Tworzyły go duże grupy ludzi i barykady z przewróconych tramwajów i samochodów. Dzięki temu nie powiodły się próby „odblokowania” obleganego gmachu Urzędu Bezpieczeństwa.

Było już popołudnie. Głódny postanowiłem wrócić do domu. W domu zastałem znajomego, robotnika Zakładów Cegielskiego. Przyszedł do nas, ponieważ nie mógł dotrzeć do swojego mieszkania, znajdującego się na rogu ulicy Poznańskiej i Kochanowskiego, a więc w bezpośrednim sąsiedztwie gmachu Urzędu Bezpieczeństwa, w samym centrum walk. W mieszkaniu została jego żona, z którą nie było żadnego kontaktu. Znajomy był bardzo zdenerwowany, bał się o żonę. Płakał. Prosił mnie byśmy razem

próbowali dotrzeć do jego domu i przeprowadzili jego żonę w bezpieczne miejsce. Wyruszyliśmy obaj do miasta. Chcieliśmy dojść do ulicy Poznańskiej od strony Rynku Jeżyckiego. Na ulicy Kraszewskiego prowadzącej do Rynku stała kolumna samochodów wojskowych. Siedzieli na nich żołnierze, a obok nich wiele dziewcząt. Rozmawiali. Było widać, że rozmowy mają charakter przyjacielski. Przypuszczam, że tak „zmiękzonego” wojska nie użyto przeciwko oblegającym Urząd Bezpieczeństwa. Doszliśmy do Rynku Jeżyckiego. Tam było już zaplecze frontu. Pod ścianami domów i w bramach stało mnóstwo ludzi. Co pewien czas z terenu walk przynoszono lub przyprowadzano rannych. Napięcie było olbrzymie. Zabudowa tej części Jeżyc nie była tak zwarta jak obecnie. W wielu miejscach były puste przestrzenie pomiędzy domami. Były to miejsca szczególnie narażone na ostrzał. Od czasu do czasu przebiegali przez nie ludzie. Aby dostać się od strony Rynku Jeżyckiego do zbiegu ulic Kochanowskiego i Poznańskiej należało przebyć kilka takich odkrytych przestrzeni znajdujących się pod ostrzałem. Nasz znajomy był człowiekiem w wieku przedemerytalnym, spracowanym i mało sprawnym. Poruszał się ociężale. Szybkie przebiegnięcie kilkudziesięciu metrów przez pole ostrzału przekraczało jego możliwości. Podjęliśmy więc próbę innego dojścia. Cofnęliśmy się do ulicy Zwierzynieckiej i dalej do Kaponier. Następnie poszliśmy wzdłuż ulicy Roosevelta do Mostu Teatralnego. Przy Moście Teatralnym wszyscy idący (a szło tam wielu ludzi) w kierunku Sołacza i Winograd schodzili w dół na wysokość torów kolejowych, chronieni nasypem ulicy przed ostrzałem, dochodzili do połączenia ulicy Poznańskiej z ulicą Roosevelta. Podeszliśmy pod mury szpitala imienia Raszei. Pod murami szpitala w miejscach nie narażonych na ostrzał zgromadziło się wielu ludzi. Teren pomiędzy zbiegiem ulic Kochanowskiego i Poznańskiej, a szpitalem był wówczas niezabudowany. Stwierdziliśmy, że nie ma szans na dostanie się do domu, w którym mieszkał. W czasie gdy staliśmy pod murami szpitala wielokrotnie podjeżdżały do zgromadzonych transportery opancerzone, z których, strzelając w powietrze, próbowano rozproszyć tłum. Nie odnosiło to jednak skutku. Robiło się już późno.

Z transporterów krzyczano, by się rozejść oraz uprzedzano o godzinie policyjnej. Ostrzegano również, że do wszystkich, którzy znajdą się na ulicach po godzinie policyjnej wojsko będzie strzelać bez ostrzeżenia. Nasz znajomy źle się czuł i był bardzo zmęczony. Nie wykonaliśmy postawionego sobie zadania i zdecydowaliśmy się na powrót do domu. Przez całą noc było słychać warkot silników i chrzęst gąsienic czołgowych. Do miasta sprowadzono kilka dywizji pancernych. Teren walk otoczono szczelnym pierścieniem, a oblegających wyłapywano i przewożono do Biedruska. Zatrzymanych z bronią w rękę aresztowano i po kilku miesiącach sądzono. Pozostałych, po pobiciu wypuszczono na wolność. Gdy rano wyszliśmy, by ponownie spróbować dojść do mieszkania naszego znajomego, ujrzeliśmy spacyfikowane miasto. Przy skrzyżowaniach ważniejszych ulic i przy gmachach publicznych stały czołgi. Ta część Jeżyc, gdzie toczyły się walki, była dosłownie obstawiona czołgami i samochodami z wojskiem. Wszędzie było widać ślady walk: poprzewracane tramwaje, rozbite szyby, postrzelane fasady domów. W kwartale ulic: Dąbrowskiego, Mickiewicza, Poznańska i Strzałkowskiego stał dosłownie czołg za czołgiem. Podobny obraz przedstawiało centrum miasta. Mijając po drodze liczne patrole wojskowe, doszliśmy do domu, w którym mieszkał. Żona znajomego, mając w pamięci doświadczenia z Powstania Warszawskiego, które przeżyła, nie spanikowała. Dom, w którym przebywała był przez kilkanaście godzin w samym centrum walk i praktycznie nie było możliwości wyjścia z niego. Mimo wielkiego zagrożenia uspokajała sąsiadki i instruowała jak się mają zachować. Przeleżały więc cały dzień i noc na podłodze. Jedna z sąsiadek wyszła, lekceważąc ostrzeżenia na klatkę schodową i została śmiertelnie ranna prawdopodobnie przez przypadkową kulę.

Wieczorem następnego dnia słuchaliśmy przemówienia ówczesnego premiera, Józefa Cyrankiewicza, który powiedział zapamiętane przez poznaniaków złowieszcze słowa: „Kto podniesie rękę na władzę ludową, temu władza ludowa rękę tą odrąbie”.

Leszek MAŃKOWSKI

Życie w nowych realiach

Opowieści mojej mamy. Część 4

Mama, Waleria Mańkowska z d. Tomczak mieszkała w Lucinach jeszcze przez pierwszą powojenną dekadę. Był to czas dorastania, nauki i pracy; lata zachodzących w Polsce zmian...

Miałam jedenaście lat, gdy po wojnie poszłam do pierwszej klasy w polskiej szkole. W Lucinach była szkoła czteroklasowa. W jednym roku zrobiłam pierwszą i drugą klasę, w następnym – trzecią i czwartą. Niektórzy, szczególnie dziewczęta, kończyli po czwartej klasie szkolną edukację i szli do pracy. A ja (wraz z pięcioma chłopakami) znów chodziłam do Dąbrowy, do klasy piątej. Ale do szóstej klasy, trzeba było iść pieszo jeszcze dalej, do Grodzewa. Po jakimś czasie tata kupił mi rower, używaną damkę. I znów były przenosiny, do siódmej klasy dojeżdżałam do Zaniemyśla.

Chciałam się dalej uczyć, zdobyć zawodowe kwalifikacje. Było zapotrzebowanie na księgowych do spółdzielni produkcyjnych i szkoła zawodowa rachunkowości rolnej w Łęknie organizowała kilkumiesięczne kursy kwalifikacyjne. Zostałam tam delegowana przez zarząd spółdzielni w Lucinach. Zajęcia odbywały się w Poznaniu, w Urzędzie Wojewódzkim na placu Kolegiackim. Skończyłam kurs jako księgowa, z wynikiem bardzo dobrym.

Pierwsza praca była w Śremie, w księgowości Państwowego Ośrodka Maszynowego. Biura znajdowały się przy ul. Mickiewicza, obok Gminnej Spółdzielni. Nie było łatwo codziennie dojeżdżać, więc zatrzymałam się na stacji przy

ul. Poznańskiej. A gdy tylko zwolnił się etat w Lucinach, zaczęłam pracę jako główna księgowa w Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej. Był rok 1951, miałam siedemnaście lat. Praca była trudna, rachunkowość skomplikowana, a rozliczenia – dziwne. Ludzie otrzymywali comiesięczne, zaliczkowe wypłaty w gotówce, ale mogli też dostawać zaliczki w naturze – np. w zbożu, czy mące. Na koniec roku trzeba było to wszystko rozliczyć z uwzględnieniem tego, co każdy członek wniósł jako wkład do spółdzielni (otrzymane z reformy rolnej narzędzia, sprzęt, inwentarz). Roczny bilans musiał być zatwierdzony przez bank i śremski wydział finansowy. Było więc co robić...

Jak doszło do powstania spółdzielni rolniczej? Po wojnie pozostał luciński majątek, nowa władza odebrała go Skrzydlewskim. Ludzie pracowali na majątku tak, jak przed wojną, a kierował wszystkim człowiek ze Śremu. Nie trwało to długo, bo nadeszła reforma rolna i majątek został rozparcelowany. Zachęcano do brania ziemi i gospodarowania na swoim, ale ludzie nie byli do tego chętni. Chcieli nadal pracować tak, jak byli przyzwyczajeni, ale brali ziemię skoro musieli. Sprowadzono także dziesięć rodzin z krakowskiego, którym też nadano ziemię. Parcele miały mniej więcej po 10 do 14 hektarów. Ludzie zaczęli się urządzać, bo inwentarz z majątku też został rozdzielony. Wzdłuż alei czereśniowej były nawet wyznaczone działki pod budowę domów. Ale kiedy niektórzy już się ładnie zagospo-



Waleria (z lewej) z kuzynką Janką. Luciny 1952 r.

darowali i oswoiili z pracą na swoim, to wyszło zarządzenie, żeby zakładać spółdzielnie. I znów bunt, ludzie nie chcą, ale co z tego? Miało być, jak władza każe. Nacieszyliśmy się tą swoją własnością przez 2-3 lata i wystarczy. W 1949 r. powstała spółdzielnia rolnicza.

Żyło nam się całkiem nieźle. Do pracy w spółdzielni chodził tata, mama miała co robić w domu i w obejściu. Każdy członek spółdzielni miał na domowe potrzeby co nieco inwentarza: jedną lub dwie krowy, parę świńek, drób. Mieliśmy też swoje warzywa na niewielkich działkach (nazywanych „kapuśnikami”) oraz owoce z drzew rosnących na przydomowych ogródkach. Co najmniej dwa razy w roku było świnio-bicie, więc – własnego wyrobu mięso i wędliny. A i drobiu było pod dostatkiem – kur, kaczek, gęsi. Było mleko, więc mieliśmy świeże masło i sery. Całe podstawowe jedzenie, świeże, było na miejscu. Nawet chleb, który przez dłuższy czas był pieczony w domach. Do sklepu szło się z reguły po cukier czy mąkę, no i po kawę (ale

długo nie było tam tej prawdziwej). A poza tym dzieci dużo przynosiły z lasu. W lasach było bezpiecznie, rodzice nie bali się posyłać dzieci po maliny, jagody, jeżyny, również po chrust i szyszki na opał. We wsi byli rzemieślnicy: był szewc, kowal, stelmach, krawcove. Dużo potrzebnych rzeczy wyrabiało się samemu, do miasta jeździło się rzadko.

Przez środek wsi biegła droga, w jedną stronę do Kalej, w drugą do Dąbrowy (dzisiaj to jest ul. Wspólna). Nazywaliśmy ją „kalejską drogą”, do połowy była brukowana, drugą część stanowił piasek. Wiejskie dróżki miały swoje nazwy. Była „aleja”, wzdłuż której rosły czereśnie (teraz: ul. ks. Jana Kajetańczyka), były „oplotki” między ogródkami gospodarskimi (dziś ul. Leśna), tamtędy się szło do lasu w kierunku Tesin. Droga z jarzębinami (teraz ul. Ojca Jana Góry), którą ludzie chodzili przez las do Bnina, Kórnik czy Poznania to była po prostu „bnińska droga”. A „kościelonka” (ul. Kościelna) prowadziła



Waleria (w środku) na dożynkach parafialnych. Zaniemyśl 1950 r.

skrótom do Zaniemyśla, do kościoła. Tamtędy szły też kondukty pogrzebowe.

Szczególny urok miały święta... Wielkanoc: wielkie sprzątanie, obejścia domostw wysypane białym piaskiem i solidny dyngus, nawet z użyciem pompy. Boże Narodzenie: przystrojanie choinki we własnoręcznie zrobione łańcuchy i inne stroiki, zapalone świece i cudowny zapach świerkowego drzewka, no i – pasterka, na którą chodziliśmy do Zaniemyśla całą gromadą. Pamiętam, jak pewnego razu było wesoło, gdy w drodze powrotnej jeden z chłopaków częstował świeżą kielbasą. Niósł ją za pazuchą już od domu, zapach w kościele pewnie też się rozchodził, a zjeść ją było można dopiero w drodze do domu, bo do północy w Wigilię obowiązywał post.

Wieś żyła swoim życiem, innym niż w mieście. Nie mieliśmy radia, zamiast niego był „kolchożnik”, taki głośnik podłączony do jakiegoś radiowęzła chyba. Ludzie dowiadawali się o tym, co władza chciała. (Teraz niektórzy też mają taki

kolchożnik...). Ale i bez radia ludzie potrafili odpocząć po pracy. Często były potańcówki, najpierw po domach, albo jak ciepło było, to na dworze. Bawili się na majówkach w parku albo na łące. Większe majówki organizowali starsi, był wtedy bufet, była dęta orkiestra ze Śremu. Młodzież organizowała skromniejsze potańcówki, za to częściej – szczególnie, gdy już była świetlica.

Z tą świetlicą to cała historia... Nas, młodych ludzi było we wsi dużo. Byliśmy ze sobą zżyci, lubiliśmy razem spędzać wolny czas. Prosiłiśmy więc przewodniczącego spółdzielni, żeby nam zorganizował jakąś świetlicę. Okazało się, że można wykorzystać pomieszczenie po stajni – ale pod warunkiem, że zapiszemy się i utworzymy koło ZMP (Związek Młodzieży Polskiej). Zrobiliśmy im więc to koło, dostaliśmy świetlicę i wszyscy byli zadowoleni. Było uroczyste otwarcie, udzieliłam nawet wywiadu do Polskiego Radia. A potem, pod szyldem ZMP robiliśmy niecenzuralne przedstawienia. Bo żeby coś wystawić, trzeba było uzyskać akceptację z urzędu cenzury. Mieliśmy już przygotowane przedstawienie sztuki Józefa Korzeniowskiego „Karpac cy górale”, ale urząd zakazał nam ją wystawiać. No i – przedstawienie i tak zrobiliśmy, cała wieś obejrzała, a tamci z cenzury nie zareagowali na to. Takich inscenizacji zrobiliśmy sporo, zawsze to było duże wydarzenie i świetlica pełna ludzi: dzieciaki, młodzież, starsi, babcie, dziadkowie... Dla nas to były fajne spotkania podczas przygotowań i prób. Zajmowało to zawsze sporo czasu, bo sami wykonywaliśmy dekoracje i sceniczne kostiumy, ale dawało dużo radości – szczególnie, gdy aktorzy (a byliśmy nimi wszyscy) słuchali braw widzów. Stale coś się w świetlicy działo. Odbýwały się potańcówki, a także wesele. Prowadziłam tam też bibliotekę, książki przywoziłam z biblioteki śremskiej. Byli tacy, którzy wypożyczali.

Ostatnim wydarzeniem, w które mocno się zaangażowałam było to wszystko, co wiązało się z poświęceniem nowego krzyża w 1954 r. (O tym już opowiadałam.) A potem... Wysłałam za mąż za Franciszka i „za mundurem” oficera pojechałam w Polskę.

Lata młodości, niełatwe lata spędzone w rodzinnej wiosce wspominam często. Zdarza mi się porównywać z tym, co mamy teraz. Żyje się wygodniej, ale czy lepiej?

Ryszard ROSZYK

Moje miejsca nad Wartą

Wspomnienia mierzone kilometrami Warty Część 7

Pewnego razu podczas rozmowy na temat moich wypraw kajakowych, przyjaciel zadał mi pytanie: „Przepłynąłeś sześćset, a może więcej kilometrów Warty, wiele odcinków po kilka razy. Które miejsce jest dla ciebie jakieś szczególne, lubiane, zapamiętane i możesz powiedzieć, że to twoje miejsce?” Bez namysłu odpowiedziałem, że ich jest wiele i zacząłem wymieniać. Z miast położonych nad Wartą: Konin, Pyzdry, Międzychód. Z miejsc przyjaznych kajakarzom: Mściszewo, Bobrowniki. Ale on drążył: wymień to jedno, to naj... I tu po chwili zastanowienia odpowiedziałem, że nie myślałem nad tym, nie prowadzę takiego rankingu, a poza tym, ze względu na różnorodność naprawdę jest mi trudno wskazać to jedyne. Po jakimś czasie już na spokojnie, zacząłem się nad tym zastanawiać i postanowiłem, że spróbuję sam dla własnych potrzeb ustalić przybliżoną kolejność szczególnych dla mnie miejsc, by nie zostać powtórnie zaskoczony takim pytaniem.

Z miejsc na brzegu Warty, na których biwakowałem, szczególnie zapamiętałem miejsce w pobliżu 374 kilometra Warty, które jest położone na prawym brzegu, a na przeciwnym brzegu, w odległości około 5 kilometrów znajduje się miasteczko Zagórów. Warta tam dość zdecydowanie zakręca w prawo i znajduje się tu piaszczysta plaża, która zachęca do zatrzymania się. Dwukrotnie tam biwakowałem. Miejsce to nie jest skażone (czytaj: zaśmiecone) przez wędkarzy. Bardzo wygodne do wyjścia z kajaka, jest dużo miejsca na rozbicie namiotu oraz rozłożenie biwakowej kuchni. Niezwykle wrażenia odczuwałem za każdym razem, gdy tam byłem. Po ciepłej, przespanej nocy budziło mnie wschodzące słońce, które przez otwarte wejście wpadało do namiotu. Chciało się natychmiast wstawać, by nie zmarnować ani jednej chwili

oddychania rześkim powietrzem wczesnego poranka. Otrzymywałem wtedy tyle energii, że przez resztę dnia chciało się góry przenosić.

Inne miejsce gdzie biwakowałem bardzo, bardzo dawno temu, to miejscowość Kątnik, położona między Puszczykowem a Luboniem (256 kilometr). Na lewym brzegu Warty znajdują się budynki dawnej leśniczówki. Kiedyś działała tu przeprawa promowa. Miejsce to, stało się znane również z tego, że właśnie tu, w styczniu 1945 roku, wojska sowieckie przekroczyły Wartę, okrążając okupowany przez Niemców Poznań. Może kilometr dalej, w pobliżu starorzecza, znajduje się to szczególne dla mnie miejsce. Gdy miałem może 5 albo 6 lat, popłynąłem tam kajakiem z ojcem i pod prymitywnym wojskowym namiotem spędziliśmy noc nad brzegiem Warty. Była to dla mnie pierwsza noc pod namiotem. Do tego miejsca wracałem kilka razy, biwakując ze swoim zastępem harcerskim. Wielokrotnie przyjeżdżałem tu też rowerem, pokonując trasę z Lubonia do Puszczykowa. Kilka razy odwiedzając pasiekę Pana Cezarego Paciorka, położoną po drugiej stronie rzeki, w Wiórku, patrzyłem na to miejsce z sentymentem, wspominając ten mój pierwszy biwak. Przepływając tędy wiele razy kajakiem, spoglądając na to miejsce, stwierdzałem, że niewiele się tu zmieniło. Miałem za każdym razem przed oczyma ten pierwszy nadwarciański biwak. Śmiało mogę powiedzieć, że jest dla mnie to szczególne miejsce nad Wartą. Niestety miejsce to obecnie znajduje się w granicach Wielkopolskiego Parku Narodowego, a na terenach parków narodowych, biwakowanie poza miejscami wyznaczonymi do tego celu jest zakazane. Powtórzenie więc tutaj noclegu pod namiotem jest niemożliwe.

Dużym sentymentem darzę również miasteczko położone na prawym brzegu Warty, na 350 kilo-



Poranek przy zakolu Warty, 174 kilometr, fot. R. Roszyk

metrze. To Pyzdry. Przy każdej okazji, kiedy tedy przepływam, obowiązkowo muszę się zatrzymać i pójść do miasta. Wita mnie ładna marina, a samo centrum położone jest blisko. Pyzdry były kiedyś jednym z większych miast Wielkopolski, podupadło na skutek zawirowań historycznych w XVII i XIX wieku. Miasto znalazło się na terenie zaboru rosyjskiego, w tak zwanym Królestwie Kongresowym. Było najbardziej wysuniętym na zachód miasteczkiem w imperium carskim. Duży rynek, wytyczony wcześniej, bo jeszcze przed najazdem szwedzkim, obecnie otoczony jest parterowymi budynkami. To też skutek przeszłości związanej z carskim porządkiem (czytaj biedą). Wyróżnia się jeden budynek podcieniowy, usytuowany w pierzei południowej. Natomiast niezwykle cennym jest fakt, że większość powierzchni rynku stanowi skwer, a może park z wysokimi drzewami, które w upalne dni dają ochłodę. Mam nadzieję, że jeszcze długo miejscowym decydom nie wpadnie do głowy modernizacja tego miejsca, poprzez wycinkę tych pięknych drzew i zabetonowanie placu. Przykre jest to, że do dzisiaj mieszkańcy niedalekiej Wrześni, która w czasie zaborów znalazła się pod panowaniem pruskim,

o mieszkańcach Pyzdr wyrażają się pogardliwie, nazywając ich „Pyzdrzokami”. Ja podczas swoich pobytów nie spotkałem żadnego niesympatycznego mieszkańca. Okazały się „zabytkowy kościół, klasztor oraz wielki mural na ścianie hali sportowej przedstawiający historię miasta. Ostatnio został odrestaurowany wiatrak typu holenderskiego, którego nie miałem okazji zwiedzić.

Innym miastem, w którym chętnie się zatrzymuję jest Konin. Na lewym brzegu okazały się bulwary, z platformą widokową na Most Toruński i przepływającą Wartę, a także restauracje na obu brzegach, które odwiedzam by uzupełnić zapas sił na dalszą drogę.

Docenianym przeze mnie miejscem nad Wartą, jest też fragment Żerkowsko-Czeszewskiego Parku Krajobrazowego w pobliżu przeprawy promowej (334 kilometr). Tu również zatrzymuję się przy każdej okazji. W sierpniu 2017 roku zatrzymałem się tu na nocleg i doznałem przykrego wrażenia. Było to kilka dni po przejściu w tych stronach huraganu, który strasznie zniszczył stare drzewa. Rozbiłem namiot na lewym brzegu i po kolacji poszedłem ścieżką w głąb lasu, obejrzeć miejsca, które pamiętałem sprzed



Dolne wrota śluzy Morzysław - stąd już 200 metrów do Warty, fot. R. Roszyk

kilkunastu lat. Tyle powalonych drzew, połamanych gałęzi, w tym wiszących jeszcze gdzieś w koronach ocalałych drzew, nie miałem okazji wcześniej oglądać. Moje oględziny musiałem skrócić do minimum, przede wszystkim ze względu na bezpieczeństwo, spowodowane możliwością upadku zawieszonych gdzieś tam wysoko grubych gałęzi. Będąc tu ponownie po kilku latach, z trudem odnajdywałem ślady tragedii, która tu się wydarzyła. Nie było śladu po przewróconych drzewach, połamanych gałęziach, a dodatkowo zostało przygotowane przez leśniczych miejsce do organizowania spotkań przy ognisku. Na szczęście przyroda potrafi się zregenerować, kiedy jej nie przeszkadzamy.

Kolejnym miejscem, które uważam za godne wymienienia, jest przystań i port w Międzychodzie. Gospodaruje nimi Międzychodzkie Towarzystwo Turystyki i Sportów Wodnych – Stary Port. Zdarzyło mi się tam dopłynąć któregoś lipcowego popołudnia – tam planowałem zakończyć swoją kolejną wyprawę. Podpłynąłem do wysokiego nadbrzeża, które wtedy przy niskim stanie wody, było niedostępne dla kajakarza. Miejscem, gdzie mogłem wysiąść, był slip, czyli pochylnia do wodowania i wyciągania większych łodzi. Po umieszczeniu mojego kajaka na wózku, wyciągnąłem go po pochylni i stwierdzi-

łem, że na terenie przystani nie ma żywej duszy. Brama wjazdowa zamknięta na kłódkę, wszystkie drzwi do budynku klubowego zamknięte. Zgodnie z informacją umieszczoną w oknie bosmanatu, przybycie do przystani należy zgłaszać niezwłocznie bosmanowi lub dzwonić pod wskazany numer telefonu. Dzwonię i informuję bosmana o swoim przybyciu, a on od razu zawiadamia mnie, że jeżeli chcę skorzystać z ubikacji lub natrysku, to klucz znajduje się w skrzynce podobnej do elektrycznej, przy wejściu do sanitariatów. Ja natomiast proszę o informację dotyczącą możliwości wjazdu samochodem na teren przystani, bo w każdej chwili może po mnie przyjechać mój syn Jacek, który zabierze mnie, kajak i cały mój ekwipunek. Otrzymuję odpowiedź, gdzie znajdują się klucze do bramy wjazdowej i jak się nimi posłużyć. To niezwykle zaufanie, którym mnie obdarzono, zaskoczyło mnie do tego stopnia, że nawet zapomniałem sfotografować tego gościnnego miejsca. Na dodatek Jacek już po kilkunastu minutach zjawił się pod bramą, by zapakować mój dobytek i zawieźć mnie do Sremu.

Dobrze wspominam też śluzę Morzysław – co prawda położoną około 300 metrów od Warty. Po kilku dniach wędrowania po leniwie płynącej Noteci i jeziorach Gopło, Ślesińskim, Mikorzyń-



Budynek podcieniowy przy Rynku w Pyzdrach, fot. R. Roszyk

skim i innych, po przewożeniu łądem, po wertepach kajaka załadowanego moim ekwipunkiem, w celu ominięcia nieczynnych śluz na kanale Ślesińskim, po podpłynięciu do górnych wrót tej śluzy, spodziewałem się powtórki z poprzednich. I tu zaskoczenie. Po telefonicznym zgłoszeniu, prawie natychmiast pojawił się pan z obsługi, który otworzył wrota i podszedł do mnie, gdy już wpłynąłem kajakiem do komory w celu pobrania opłaty (wtedy 4,50 zł za kajak). Po serdecznym przywitaniu i doręczeniu mi pokwitowania zapłaty poszedł do sterowni śluzy, by dokonać reszty czynności związanych z przepuszczeniem mojej jednostki pływającej. Obniżył poziom wody w komorze o około 70 centymetrów, po czym otworzył dolne wrota, zezwalając mi na opuszczenie śluzy. Pozdrowiliśmy się wzajemnie i popłynąłem dalej, by po chwili znaleźć się na „naszej Warcie”.

Ciekawe miejsca, które zapisały się dobrze w mojej pamięci mógłbym wymieniać chyba w nieskończoność. Mogłyby to być ciekawe formy utworzone przez naturę, pnie drzew schylające się nad wodą, tunele utworzone z koron drzew rosnących nad brzegami rzeki, nieprzewidywalne zachowanie naszej Warty, kiedy podczas zbli-

żania się nie można było przez długi czas przewidzieć, czy będzie zakręt w lewo, czy w prawo. Z pewnością zapamiętałem utrudnienia i przeszkody na Warcie, kiedy konieczne było przewożenie kajaka łądem.

Ale często szukając czegokolwiek, gdzieś daleko, czasami w odległej pamięci, nie dostrzegamy tego, co znajduje się tuż obok nas, w zasięgu wzroku. Czegoś co jest bardzo blisko i co mamy na co dzień. Dlatego podczas moich opowieści o szczególnych dla mnie miejscach, nie mogę pominąć miasta, w którym się co prawda nie urodziłem i nie wykształciłem, ale za to mieszkam od ponad pół wieku. Mam na myśli Śrem. Tu, podobnie jak w Koninie można zachwycać się piękną, a może jeszcze piękniejszą promenadą nadwarciańską, która o każdej porze letniego dnia daje schronienie przed upałem, zwłaszcza na odcinku od muzeum do mostu, gdzie ławeczki upamiętniają zasłużone dla historii regionu osoby. Tu znajdują się zabytki architektury i ślady wspianej przeszłości naszego miasta. Restauracje serwujące znakomite dania. Stąd też wywodzą się ludzie, z którymi można spotkać się w każdym niemal zakątku – w kraju i za granicą.

Ewa NOWAK

Prodiż

Rzeczy minione

Przedmiot znany u nas jako prodiż w wielu krajach funkcjonował pod nazwą remoska. Ojcem tego urządzenia był Czechosłowak Oldrich Homut, a produkowały je zakłady REMOS, stąd nazwa. W Polsce jednak ten sprzęt wzbudził taki zachwyt, że nazwany został prodiżem, od francuskiego słowa „prodige”, czyli „genialne”. Inne źródła mówią o Austriaku Friedrichu Schindlerze, który miał być wynalazcą prodiża na początku XX wieku. Masowa produkcja urządzenia znanego w Polsce jako prodiż elektryczny zaczęła się w 1957 roku. Prodiż składał się z metalowego naczynia oraz z pokrywy wyposażonej w wizjer. Zasilany i ogrzewany był prądem. Słu-

żył do pieczenia ciasta i mięsa. Miał postać okrągłego lub prostokątnego naczynia o pojemności około 3,5 litra. W pokrywie umieszczona była grzałka elektryczna o mocy od 400 do 650 W. Były również prodiże dwuczęściowe, które dodatkowo posiadały ogrzewaną podstawę. Moc grzałki w podstawie najczęściej wynosiła 200 W. Ogrzewana podstawa mogła służyć również do podgrzewania potraw w innych naczyniach. w Polsce popularne były przed rozpowszechnieniem się piekarników gazowych czy elektrycznych. Jak na tamte lata był świetną alternatywą dla piekarnika, a przygotowywane w nim dania były naprawdę smaczne.



KWESTIONARIUSZ KULTURY



KATARZYNA GRZEGORCZYK

Rocznik 1979. Śremianka z urodzenia. Absolwentka śremskiego Ekonoma, a następnie wydziału Filologii Polskiej UAM. Życie zawodowe rozpoczęła w TV Relax, gdzie była reporterem i prowadzącą serwis informacyjny przez 8 lat. Od ponad 20 lat pracuje w Zespole Szkół Ekonomicznych, gdzie uczy języka polskiego oraz wiedzy o społeczeństwie. Nie wyobraża sobie życia poza Śremem i pracy zawodowej poza szkołą. W jej domu królują książki i ukochany kot.

1

Kim jestem...

Jestem śremianką, mamą, żoną, przyjaciółką i nauczycielką.

2

Co jest najważniejszym osiągnięciem mojego życia...

Największym osiągnięciem jest dla mnie to, że robię w życiu to, co lubię. Kocham swoją pracę, mam wspaniałych synów i męża. A gdy spotkam na ulicy moich byłych i obecnych uczniów, z wielkim uśmiechem się ze mną witają.

3

W czym jestem dobra...

Myślę, że potrafię zarażać miłością do literatury, filmu i teatru. Potrafię znaleźć wspólny język z uczniami i przeprowadzić ich przez meandry wiedzy o języku i kulturze polskiej.

4

Co jeszcze chcę osiągnąć...

Chciałabym przyczynić się do takich zmian w polskiej szkole, by stała się ona nowoczesna i przyjazna młodym ludziom.

5

Co chcę w sobie zmienić...

Chciałabym umieć walczyć o to, co dla mnie ważne. Mieć w sobie odwagę, by sprzeciwić się światu, gdy jest zły.

6

Co daje mi szczęście...

Poczucie, że ludzie dobrze czują się w moim towarzystwie. Jako mamie szczęście dają mi chwile, w których widzę, że moje dzieci spełniają swoje marzenia, realizują pasje i są szczęśliwe.

7

Najważniejszy dzień w moim życiu...

Trudno wskazać jeden. Tym bardziej, że mam dwóch synów.

8

U przyjaciół najbardziej cenię...

Ich szczerość, akceptację i wsparcie – takie mimo wszystko.

9

Bohaterstwo to dla mnie...

Odwaga, by walczyć o swoje zasady.

10

Epoka, w której chciałabym żyć...

Jest mi dobrze tu i teraz. Choć podróże w czasie to kuszącą wizja i chętnie poznałabym inną czasoprzestrzeń.

11

Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...

Zamknięcie mnie w domu, zabranie książek i odcięcie od ludzi. Czerpię siłę z pracy z ludźmi.

12

Najcenniejsza rzecz jaką posiadam...

Nie przywiązuję wagi do rzeczy materialnych, choć na pewno najcenniejsze są pamiątki rodzinne. Drobiazgi, które niosą ze sobą małe i wielkie historie mojego życia.

13

Moja największa wada...

Brak wytrwałości i systematyczności. Te cechy ułatwiłyby mi osiągnięcie celów takich jak poprawa kondycji fizycznej.

14

Główna cecha charakteru...

Umiejętność nawiązywania kontaktów z ludźmi.

15

Moje motto życiowe...

„A po nocy przychodzi dzień, a po burzy spokój” – tak sobie śpiewam wraz z Budką Suflera.

16

Ulubiony dźwięk...

Letni deszcz uderzający w szyby.

17

Dźwięk, który mnie denerwuje...

Cisza, gdy zadam pytanie na lekcji.

18

Nie mogłabym żyć bez...

Książek – to mój alternatywny świat.

19

Co wzbudza we mnie lęk...

Brak poczucia stabilizacji finansowej – zawsze staram się żyć stabilnie w tej przestrzeni.

20

Moje ukryte marzenie...

Wydać książkę – ups... czyli już nie jest ukryte.

21

Dar natury, który chciałabym posiadać...

Głos, który sprawiłby, że mogę śpiewać nie tylko w łazience.

22

Zawsze śmiesz mnie...

Przejmowanie się drobiazgami, obrażanie na cały świat – życie jest za krótkie.

23

Słowo, którego nadużywam...

Moi drodzy... – gdy zwracam się do moich uczniów.

24

Zdanie o mnie, które zapamiętałam

„Pani jest najbardziej cierpliwą osobą na świecie” – oj pozory mogą mylić.

25

Myśl, która pojawia się gdy nie jest najlepiej...

Będzie lepiej!

26

Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...

Zdrady.

27

Wolność to dla mnie...

Możliwość dokonywania nieograniczonych wyborów.

28

Kim chciałabym być gdybym nie była tym kim jestem...

Pisarką. Słowa to mój żywioł.

29

Obecny stan mojego umysłu...

Pozytywny.

30

Kim chcę zostać w pamięci innych...

Człowiekiem, który nie krzywdził innych, nauczycielem, który szanował uczniów, przyjacielem, który nigdy nie zawiódł.

Jolanta ANDRZEJEWSKA

Opowiadania z piekła rodem

Z górnej półki

Prawdę powiedziawszy myślałam, że w sztuce nie już mnie nie zdziwi. A jednak.

Książka amerykańskiej pisarki Lidii Yuknawitch *Chronologia wody* zaskoczyła mnie trudną czasami do wytrzymania brutalnością narracji. Tym, że autorka tak śmiało zagłębia się we własne trzewia i wywleka je czytelnikowi przed nos bez najmniejszego oporu. Wprawdzie na podobnych zasadach działa noblistka Annie Ernaux, jednak jej proza, bardzo egotyczna, w sferze języka, pozostaje w ramach konwencjonalnej literackiej estetyki. Może dlatego, że jej życie nigdy nie było aż tak „odjechane”, jak wydaje się być życie Yuknawitch. *Chronologia wody* to prawdziwy rollercoaster emocji i samobiczowania.

Bohaterka, oczywiście Lidia, pochodzi z porządnego domu: ojciec architekt, matka – agentka nieruchomości z dużymi sukcesami na koncie, starsza utalentowana siostra. Tylko, że dom ten pozostaje pod wpływem ojca, mrocznego, agresywnego, nadużywającego przemocy wobec żony i córek. Prawdopodobnie także przemocy seksualnej. Matka pije. Małymi dawkami, bez ekscesów, ale spowija ją ustawiczny zapach wódki. Siostra ucieka na studia, do swojego życia, by prawie nigdy nie wracać. Osiem lat młodsza Lidia, zostawiona sama sobie, znajduje enklawę w sportowym pływaniu. Kontakt z wodą przynosi jej radość i satysfakcję, które towarzyszyć jej będą całe życie. Zaczyna odnosić sukcesy jako pływaczka i dzięki temu, jak to

w Stanach Zjednoczonych bywa, otrzymuje propozycje studiów na kilku uniwersytetach. Kiedy uda jej się wreszcie uciec spod chorej kontroli ojca oraz od depresyjnej matki, którą jako dziecko musiała czasami ratować przed samobójczą śmiercią, nie potrafi z otrzymaną wolnością zrobić nic sensownego. Pije, bierze narkotyki, rzuca studia i znowu pije, bierze coraz gorsze narkotyki, trafia na odwyk w wieku siedemnastu lat, przestaje być znakomitą pływaczką wygrywającą zawody, wraca do nałogu, uprawia seks, z kim popadnie i gdzie popadnie. Napędza ją wściekła nienawiść do samej siebie, zagubionej, wykorzystanej dziewczynki.

Opis jej drogi przez piekło jest bezpośredni, nawet wulgarny, bez taryfy ulgowej i ściemniania (znakomite tłumaczenie Kai Gucio). Słowem – „Dzieci z Dworca Zoo” bez zbędnych upiększeń. Na tym zresztą polega pisarstwo Lidii Yuknawitch, na bezwzględnej bolesnej szczerości.

Czy wszystko, o czym mówi w opowiadaniach zdarzyło się naprawdę? Czy Lidia – bohaterka literacka jest tożsama z autorką, wykładowniczą literatury na uniwersytecie w Oregon? Tego nie wiemy i nigdy nie będziemy wiedzieć do końca. Fakty, o których autor pamięta, – mówi w książce Yuknawitch – zmieniają się w momencie napisania w literaturę i nie mają nic wspólnego z prawdą.

W *Chronologii wody*, nasza niegrzeczna Lidia staje w końcu na nogach, by zostać pisarką i wy-

kładowczynią uniwersytecką. Jednak jej życie nie przestaje toczyć się na krawędzi. Lidia nawiązuje wieloletni romans ze starszą od siebie kobietą i zdobywa sadomasochistyczne doświadczenia seksualne. Zalicza kolejne, nie do końca szczęśliwe małżeństwo. Pijana, powoduje niebezpieczny wypadek samochodowy. Po raz wtóry trafia na krótko do więzienia. W ramach reedukacji sprząta autostradę w towarzystwie podobnych do siebie straceńców. Nawiązuje romans ze swoim uczniem. Wszystko to, rzecz jasna, jest kanwą opowiadań. Bardzo dobrych, tworzących tak spójną całość, że w sumie czyta się je jak powieść. Co ciekawe, narratorka zwraca się do odbiorcy bezpośrednio per ty, co jest szalenie odświeżające. Czytelniczka ma wrażenie, że jest jedyną bezpośrednią słuchaczką osobistych zwierzeń autorki.

Lidia Yuknavitch nie jest autorką mocno utytułowaną, otrzymała zaledwie dwie niezbyt ważne amerykańskie nagrody literackie, parę nominacji, i co najważniejsze kilka wyróżnień od czytelników, co może świadczyć o tym, że jej sposób narracji i to, co chce przekazać, trafia na podatny grunt. Najlepszy dowód – jej wykład na platformie konferencyjnej TED, w którym opowiada, jak zwykle bez zahamowań, o swoich traumach i życiowych zawirowaniach, ale przede wszystkim o tym, jak się podniosła i gdzie jest teraz, spotkał się z olbrzymim zainteresowaniem, obejrzało go ponad cztery miliony ludzi na całym świecie!

Finału z happy endem może spodziewać się też czytelniczka, która sięgnie po historię o Lidii. Kiedy bohaterka spotka na swojej drodze odpowiedniego człowieka, jej niepokohowana nienawiść do siebie samej i świata nagle zniknie, a literatura zmieni się w pieśń na cześć miłości i życia. Przesadzaną, mocno.

Tak już jest, że niektóre dzisiejsze twórczynie, zarówno w dziedzinie sztuk wizualnych, jak i literackich, są niesłuchanie autotematyczne. Gdzie te czasy, gdy w świecie stworzonym przez Jane Austin szukało się śladów autobiograficznych? Zarówno pisarka Lidia Yuknavitch, jak i serbska performerka Marina Abramowicz, czy polska artystka, Katarzyna Kozyra, rozkładają swoje życie i intymność przed publiką, kawa na ławę, przeprowadzając na oczach świata szokującą psychoterapię... Czy wiwisekcja bez zahamowań może dać coś odbiorcom? Stać się

potoczną w ich życiu? Tak chyba sądzi Lidia Yuknavitch, mówi o tym we właściwy sobie dośladny sposób w posłowniu do książki: „Jeśli coś kiedyś w życiu zjebałaś [excusez le mot] albo jeśli dotknęła cię wielka rzeka smutku, która płynie w nas wszystkich, to ta książka jest dla ciebie”.

Wraz z wyzwoleniem, kobiety-artystki próbują wyrazić siebie inaczej niż do tej pory, kompletnie bez zahamowań, bez wstydu. W świecie sztuki wizualnej prekursorką była Alina Szapocznikow, a w literaturze ten rodzaj bezkompromisowości spotykamy już od kilkunastu lat: Gretkowska, Masłowska, Marcinów, Ernaux, Yuknavitch. Jestem wprawdzie z generacji boomersów, która lubiła łamać zasady i przekraczać granice, ale... No właśnie, ale nie aż tak. Nadeszło nowe. I dobrze.

Chronologia wody

Lidia Yuknavitch,

Wydawnictwo Czarne 2022



Marta Tok

LOT

Opowiadanie trzecie

Uciekinierzy do świata

Kicia wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w płytę lotniska tuż za wielkim oknem poczekalni i zastanawiała się ponuro, jak mogła znaleźć się w tej sytuacji, ona, która zawsze i wszędzie potrafiła sobie poradzić. Naprawdę Kicia miała na imię Wiktoria, ale nienawidziła swojego pompatycznego imienia, szczególnie źle kojarzyło jej się od czasu, kiedy w Londynie, na dworcu o takiej samej nazwie, brudna i wyczerpana spędziła parę nocy zanim znalazła sposób, by wydostać się z Anglii. Drobna blondynka, dość atrakcyjna, gdyby nie figura dziecka i lekko zagubiony wyraz twarzy, który sprawiał, że robiła wrażenie nastolatki nieustannie potrzebującej opieki. W rzeczywistości Kicia była twardym zawodnikiem. Nie bała się niczego. A przynajmniej dobrze swój strach ukrywała. Pochodziła wprawdzie z „zadupia” we wschodniej Polsce, jednak przemierzyła tanimi liniami pół Zachodu, zarabiając na podróży jako kelnerka w czasie sezonu nad polskim morzem, a czasami załapywała się na krótkie roboty na czarno w różnych zakątkach Europy. Zbierała jagody w Szwecji, truskawki w Devon,

winogrona w dolinie Rodanu, a nawet przez moment obsługiwała turystów w budce z naleśnikami w centrum Paryża, niedaleko kościoła Saint-Germain-des-Prés (interes należał do Polaka, a że większość klientów była anglojęzyczna, więc facet potrzebował Kici). Była obieżyświatem, globtroterką na średnią skalę i bardzo lubiła tę swoją wolność okraszoną ekscytującą niepewnością jutra. Nikomu nie musiała się meldować ani tłumaczyć. Rodziców nie znała. Ojciec odszedł w siną dal jeszcze przed jej urodzeniem, a matka, alkoholiczka, „zaginęła w boju”, jak mawiała kąśliwie babka, która ją wychowywała i zmarła trzy lata temu, kiedy Kicia miała dwadzieścia dwa lata. Jedyną żyjącą krewną dziewczyny była ciotka z Warszawy, przyrodnia siostra matki. To właśnie do niej dziewczyna regularnie wysyłała kartki z podróży lub z rzadka dzwoniła. Ciotka, bardzo samotna na starość, zawsze była wzruszona tymi oznakami życia ze strony Kici i nieodmiennie zachwycała się jej podbojem świata. - Tak? W Paryżu jesteś Kiciu? Ale ty masz dobrze, korzystaj, korzystaj. Sama bym tak chcia-

ła, ale już nie to zdrowie – szeptała dalekim, starym głosem, zniekształconym dodatkowo przez słuchawkę stacjonarnego telefonu, bo tylko taki posiadała. To właśnie ciotka, podczas jakiejś kolejnej wizyty w stolicy nazwała dziewczynę Kicią. Wicia - Kicia, tak ją przezywała z czułością. Dziewczynie, od zawsze pozbawionej jakichkolwiek znaków bliskości, robiło się od tego ciepło na sercu. No, ale ciotka niedawno zmarła. I zostawiła Kici w testamencie swoje nieduże mieszkanie na Saskiej Kępie. Początkowo Kicia zatrwożyła się. Czy da radę je utrzymać? Może sprzedać i ruszyć w daleką podróż? Z drugiej strony, nie była już nastolatką i powolutku rodziła się w niej jakaś potrzeba stabilizacji, pragnienie zakotwiczenia na dłuższy czas. Tak czy owak, przyjęła spadek z wdzięcznością. Było to nieduże, zadbane mieszkanie w starym bloku, z widokiem na piękne topole i kasztanowce, wypełnione podniszczonymi mebelkami z lat sześćdziesiątych. Całkiem urocze. Kicia siadywała z papierosem i piwem na balkonie i rozmyślała, jak – dzięki tej dalekiej ciotce – jej życie miało się diametralnie zmienić.

Znalazła pracę kelnerki, w pewnej niedużej włoskiej restauracyjce przy ulicy Francuskiej, dziesięć minut od domu. Nie przemęczała się specjalnie. Pracowała na trzy-czwarte etatu, najczęściej w weekendy, ale i tak z napiwków wyciągała drugie tyle. Nie potrzebowała dużo, głównie na opłaty za mieszkanie, niewiele na jedzenie, żywiła się przecież w pracy, no i od czasu do czasu piwo i papierosy, ale te ograniczyła do paczki na tydzień. Resztę z napiwków odkładała do puszek po kawie poupychanych w różnych zakamarkach mieszkania. Dość szybko uzbierało się sporo kasy. Czekwała na kolejną podróż, albo może i nie? Jeszcze Kicia nie wiedziała, jak długo taki osiadły tryb życia będzie ją bawił. Wszystko zmieniło się, gdy poznała Mariannę.

Dość korpulentna, pewna siebie i wesoła Marianna była stałą klientką restauracji w porze lunchu. Akurat traf chciał, że najczęściej to Kicia ją obsługiwała. Kobieta była wyjątkowo miła. Dziewczyna, z natury powściągliwa, po latach surowego wychowania przez oschłą babkę, zajęta głównie swoim kurnikiem, pragnęła dobrego słowa i życzliwości. Marianna od po-

czątku bezbłędnie to odczytała. Mogła i być Kicia twardym zawodnikiem, jednak duża ilość komplementów, a przede wszystkim zainteresowania ze strony dojrzałej, pewnej siebie kobiety, sprawiającej wrażenie zamożnej (hojne napiwki stały się regułą), wszystko to działało jak balsam na osamotnioną dziewczynę. Kicia nawet sobie nie przypomina, jak to się stało, że zostały z Marianną przyjaciółkami. Piwo po pracy, spacer po okolicy, czasami dyskoteka i wypad po ciuchy, aż w końcu po jakiejś wariackiej nocy skończyły w łóżku po ciotce. Było super. Do tej pory doświadczenie seksualne Kici ograniczało się do kilku szybkich numerków ze spotkanymi w szkole, czy w podróży chłopakami, i nigdy siebie nie podejrzewała o lesbijskie ciągoty, jednak łóżko z Marianną było doświadczeniem intensywnym. Zostały parą. Marianna wprowadziła się do mieszkania Kici. I prawie od razu ich relacja zaczęła się staczać po równi pochyłej.

Kobieta głównie siedziała w telefonie, załatwiając jakieś sprawy mailami i esemesami. Często odbywała rozmowy, zamykając drzwi od kuchni, żeby nie było słychać. Wszystkie pytania zbywała krótkim - „interesy”. Zaczęła też pożyczać od Kici pieniądze. Od czasu do czasu, po powrocie z pracy, Kicia znajdowała Mariannę w lepszym humorze. Wyruszały razem na miasto i było jak kiedyś. Marianna stawiała (najczęściej za kasę pożyczoną wcześniej od Kici). Wynajdowała fajne miejsca w mieście, kawiarnie, puby, koncerty, po których piły nad Wisłą prosecco z gwinta. A potem Marianna zniknęła bez słowa, by po dwóch-trzech dniach pojawić się naburmuszona i prawie nie odzywając położyć do łóżka. Trwało to miesiącami, w Kici narastała frustracja. Pewnego razu, w czasie kolejnej awantury, gwałtownie zażądała od Marianny wyjaśnień pod groźbą wyrzucenia jej ze swojego mieszkania. Ta tylko posłała jej czarne spojrzenie. - Uważaj, prędej ja ciebie stąd wyprowadzę, nogami do przodu – wyszczała. Wprawdzie kilka chwil potem przeprosiła, tłumacząc się „przejściowymi” kłopotami z jakąś „inwestycją”, ale Kicia zaczęła myśleć, że Marianna nie do końca jest taka, jak się jej wydawało. Po tej kłótni Kicia miała się już na baczności. Kiedy pewnego razu odkryła, że jedna z zakitanych po kątach puszek z kasą

zniknęła, przestraszyła się. Postanowiła zakończyć znajomość. Nie wiedziała tylko jak. Zrozumiała wreszcie, że została zmanipulowana, maksymalnie wykorzystana. I czuła się bezradna. Nienawidziła tego uczucia. Ale musiała przyznać przed sobą, że Marianna budziła w niej obawę. Te jej nie do końca ortodoksyjne interesy. Ci dziwni znajomi, z łańcuchami na owłosionych klatkach, widywani przelotnie tu i tam, podczas wspólnych wypraw. Jak mogła od początku nie dostrzec tego, kim była Marianna? Gdzie się podział jej niezawodny do tej pory instynkt zachowawczy? Kicia była wściekła na siebie. Długo w nocy kombinowała, jak to ogarnąć i w końcu wymyśliła plan.

Kilkanaście dni później, kiedy Marianna w przypływie dobrych intencji oznajmiła, że nie będzie jej cały dzień, a może dwa, dziewczyna pokiwała głową, ubrała się i wyszła do roboty. Z dołu zadzwoniła do knajpy, że jej dziś nie będzie, trudno, musieli sobie jakoś poradzić. Schowała się za betonowy śmietnik na lewo od klatki schodowej i czekała. Rzeczywiście, jakieś dwadzieścia minut później Marianna wyszła z niewielką torbą podróżną i płaszczem przeciwdeszczowym przewieszonym przez ramię. Skierowała się wprost na śmietnik. – O, kurde, – spanikowała Kicia. Nie pomyślała, że tędy też prowadzi droga na przystanek. Ukucnęła i schowała się za kubłem modląc się, by Marianna nie miała czegoś do wyrzucenia. Jednak na szczęście nie. Przeszła obok nie zauważywszy skulonej sylwetki. Kicia odczekała chwilę i ruszyła do domu wyjmując z kieszeni telefon. Już parę dni wcześniej załatwiła z pewnym kumpłem, mechanikiem, że przyjedzie natychmiast na wezwanie. Znał się też na ślusarce, zresztą, co to było trudnego dla przeciętnego majsterkowicza zmienić zamki. Kiedy on pracował, Kicia ogarnęła mieszkanie wrzucając do dużego worka na śmieci wszystkie rzeczy Marianny. Swoje spakowała do plecaka. Co chwilę wychodziła na balkon lub do okna w kuchni, sprawdzając nerwowo, czy aby jej współlokatorka nie wraca. Jednak nie. Udało się. Rozliczyła się z kumpłem, suma była spora, ale Kicia wiedziała, że płaci mu też za dyskrekcję i szybkość. Kasę z puszek już wcześniej zamieniła na euro. Teraz więc tylko zarzuciła na ramię swój ukochany zielony plecak, za-

mknęła drzwi na trzy spusty, a worki z rzeczami Marianny umieściła na wycieraczce. Bez żadnej karteczki. Miała to gdzieś.

Uber już czekał. Pojechała prosto na lotnisko. Trochę z duszą na ramieniu, bo bilety na dzień bieżący – sprawdziła to – można było wprowadzić kupić w kiosku, ale mogło ich już nie być. Nie wiedziała, dokąd polecą. Było jej prawie wszystko jedno, byle cena nie była za duża. Chciała zniknąć, zatrzeć za sobą ślady i długo nie wracać. Wystarczająco długo, by Marianna z czasem dała sobie spokój i znalazła kogoś innego, by na nim żerować.

W punkcie sprzedaży biletów lotniczych nie mieli wielu okazji. Amsterdam, Paryż... Jakoś nie kojarzyło się to ze skuteczną ucieczką. Ale na następny rano znalazło się jedno miejsce do Aten. Świetnie, ucieszyła się Kicia. Wielkie miasto nad morzem połączone promami z pierdylionem małych wysp. Super. Miała sporo czasu na opracowanie planu. Lotnisko było nowoczesne i czyste. Nie zamykało się na noc. Można było przekimnąć w hali odlotów, nawet całkiem wygodnie. Kicia długo skrolowała Internet w poszukiwaniu idealnego miejsca. Wreszcie znalazła – Sifnos. Mała wyspa na Morzu Egejskim, podobno cicha i spokojna, bez wielkich hoteli i lotniska. Same pensjonaty, w których Kicia liczyła załapać się na jakąś robotę. Życie znowu stało przed nią otworem. Widziała, że kiedyś tu wróci, nie zamierzała jednak wracać zbyt prędko. Rozmarzona i pełna planów na przyszłość zasnęła z plecakiem pod głową.

Spała niespokojnym snem, jednak na tyle głębokim, że nie poczuła, jak jej plecak wysuwa się spod głowy. Kiedy Kicia obudziła się koło czwartej na dworze jeszcze było ciemno. W hali odlotów spali nieliczni pasażerowie. Rozejrzała się i nagle zauważyła brak plecaka. Nerwowo zaczęła szukać pod siedzeniami. Sprawdziła w koszach na śmieci i w łazience. Nic. Jej bagaż z całym dobytkiem zniknął. Przeklęła brzydko.

Siedziała załamana patrząc tępo przed siebie. Jak mogła znaleźć się w tej sytuacji? Co teraz miała niby zrobić? Nie była absolutnie gotowa na powrót do domu i spotkanie z Marianną. To nie wchodziło w grę. Zaczęła nerwowo analizować sytuację. Nie ma ciuchów, paszportu, do-

wodu ani prawa jazdy, zniknęła cała gotówka i karty... Ale zaraz, smartfon! Gdzie go wsadziła?! Do plecaka, czy? Nie, był, tutaj, w wewnętrznej kieszeni wiatrówki, która leżała zmiętolona na siedzeniu. Ok, a więc nie jest tak źle. Miała dostęp do banku i prawdopodobnie do aplikacji z dokumentami. Kicia zaczęła od zablokowania karty bankowej. Z tego, co widziała, jeszcze nikt jej nie użył. Bingo. Co teraz? Do odlotu pozostało według planu jeszcze pięćdziesiąt minut. Mogła wrócić do Warszawy. Poczekać na nową kartę, nowe dokumenty. Ale nie podobał jej się ten pomysł, wcale a wcale. Była zdecydowana wyjechać stąd. Teraz. Jakie miała opcje? Na koncie nie było zbyt wiele pieniędzy, gotówkę trzymała głównie w puszkach po kawie. No, ale tego, co ma na pewno wystarczy, przynajmniej na podróż. A potem się zobaczy. Bilet na samolot był w aplikacji. Jedyny problem, to brak dowodu. Ale... Kicia pamiętała, że czasami, nawet bardzo często, zwłaszcza w liniach regularnych, przy wejściu do samolo-

tu sprawdzano tylko bilet. W końcu strefa Schengen. Zdecydowała się zaryzykować. Jak się nie uda, wyjaśni, co się stało, i trudno.

Kiedy ogłoszono lot Aegean Airlines do Aten, Kicia stanęła na końcu kolejki obserwując z daleka personel lotniczy. Spieszyli się. Chcieli pewnie wylecieć o czasie. Spięta i zdenerwowana powtarzała w myślach jak mantrę: ratuj ciociu, ratuj. I chyba poskutkowało, bo kiedy przyszła jej kolej i wyciągnęła rękę z biletem w aplikacji telefonu, Greczynka skupiła się na odczytaniu kodu, który początkowo nie chciał wejść, i nie poprosiła o nic więcej! Kicia weszła na pokład i usiadła myśląc, że jeszcze nigdy, w całym swoim życiu, nie odczuwała takiej ulgi i radości. Wiedziała, że w Atenach sobie poradzi. Załatwi tymczasowy dowód w konsulacie, a potem wsiądzie na prom i... zniknie. Na długo. Samolot wystartował i wzniósł się nad zalanym słońcem ocean chmur. Nikt nie wiedział, gdzie jest, nie miała pieniędzy, dokumentów, ani bagaży. Kicia była wolna.



Ewa NOWAK

Ksiądz Antoni Rządki

Patroni naszych ulic

Ulica księdza Antoniego Rządkiego znajduje się w lewobrzeżnej części miasta. Jest krótką uliczką odchodzącą w lewo od ul. Wojska Polskiego. A kim był jej patron?

Ksiądz Antoni Rządki urodził się 4 stycznia 1898 roku w Mirkowie koło Wieruszowa. Pochodził z bardzo licznej rodziny. Miał dziesięcioro rodzeństwa. Pod koniec I wojny światowej znalazł się w „Błękitnej Armii” generała Józefa Hallera we Francji. Był uczestnikiem wojny polsko-rosyjskiej i Bitwy Warszawskiej 1920 roku. Idąc za głosem powołania wybrał drogę kapłańską. Święcenia przyjął w dniu 20 lutego 1932 roku w Katedrze Poznańskiej. Pierwszym miejscem jego posługi duszpasterskiej była parafia we Wronkach. Następnie był prefektem gimnazjum w Rogoźnie, a od 1935 roku pełnił funkcję prefekta w Państwowym Gimnazjum imienia Józefa Wybickiego w Śremie oraz kierownika tamtejszego Konwiktu Arcybiskupiego. Był powszechnie lubiany przez uczniów. Wzbudzał zaufanie i ceniony był nie tylko jako ksiądz i nauczyciel, ale również jako człowiek rozumiejący innych. Po wybuchu II wojny światowej we wrześniu 1939 roku razem z innymi mieszkańcami Śremu został aresztowany jako zakładnik. 20 października 1939 roku Niemcy wyznaczyli spośród zakładników 19 osób do rozstrzelania. Tuż przed publiczną egzekucją dobrowolnie zaofiarował swoje życie za ojca wielodzietnej rodziny. Razem z innymi zginął na rynku miejskim w Śremie. Jak wynika z relacji świadków, podczas egzekucji ukląkł i kule go minęły. Został więc dobity strzałem w głowę przez dowodzącego plutonem egzekucyjnym niemieckiego oficera.



Ksiądz A. Rządki. Foto ze zbiorów MŚ



Fot. M. Nowak

Leszek MAŃKOWSKI

Cele i środki

Na oparach

Otrzymałem list. Tak, taki tradycyjny, papierowy w zaadresowanej kopercie, z wyszczególnieniem nadawcy. Wydarzenie nie tak częste w dobie esemesów, maili, postów, tweetów, blogów, vlogów itp. Przysnąję, nieco mnie rozczuliło, że ktoś kontaktuje się ze mną w taki sposób i – ponieważ ciekawość, co tam jest w środku, zaczęła mnie zżerać – niezwłocznie zabrałem się do lektury. Okazało się, że informują o waloryzacji świadczenia. Niby nic nowego, bo fakt ten urzeczywistnił się już trzy miesiące wcześniej. Ale po pierwszym zdumieniu (nazwijmy to w ten sposób) przyszła jedynie słuszna refleksja: Przypominają mi, bo tak szybko wszystko biegnie, że już się z tym oswoiłem i zacząłem te pieniądze traktować jak coś, co mi się należało, jako częściowy zwrot tego, co mi w poprzednim roku pożarła wygenerowana przez nich inflacja i przestałem już odczuwać strumień mamony, o co dba ona (ta inflacja) nadal. Przypomnieli więc, że w trudnym czasie seniorów szeroko wspierają, że zasługują oni (ci seniorzy) wszyscy na „jesień życia, którą mogą poświęcić wypoczynkowi i rodzinie”. Nie omieszkali dodać, że to waloryzacja rekordowa, że to wsparcie wielkie „w czasach, w których pandemia, wojna i inne światowe kryzysy...”. Jasno wyłożyli, jak to było słabo przez tamte nieszczęsne osiem lat, a jak teraz pięknie urosło dzięki nim, dzięki ich

trosce. Złośliwie, acz nieskutecznie szukałem porównań na temat inflacji. Ale, list nie może być za długi i pewnie lepiej mi zostać z niedosytem niż z cyferek nadmiarem. Bo – może będą kolejne listy. Bo – może tak bliżej jesieni (tej kalendarzowej). Bo – gdybym znów zapomniał...

Warto przypominać. Warto czytać napisane – żeby nie było tak, że najpierw podpisał, potem przeczytał i później się zdziwił trochę...

Trzeba przypominać. Otwierają więc dwa razy ten sam most, tyleż razy tę samą obwodnicę i trzykrotnie przekazują tym samym strażakom te same wozy. Coś w tym złego? Skoro tak wielu się starało o dobrostan, że wszyscy oni podczas jednej uroczystości by się nie mieścili w pierwszym szeregu...? A to, że przed replayem otwierania mostu / kawałka szosy trzeba było ten most / ten kawałek szosy znowu zamykać? Oczywiście oczywistością jest: żeby otworzyć to, co jest otwarte – trzeba je najpierw zamknąć. A że popsociżyli niektórzy, tacy kierowcy na przykład? Czy dzięki temu nie zapamiętają lepiej? Już starożytni wiedzieli: *Repetitio est mater studiorum!*

Na co komu fałszywa skromność? Trzeba pokazywać osiągi, więc prezentują widzom na potęgę. Otwierają, przecinają wstęgi i święcą, co się da. A to kolejowe dworce bez torów i peronów, a to lotniska bez samolotów, a to kanał bez że-

glugi. Na szczególne wyróżnienie zasłużyli, według mnie, pomysłodawcy uroczystego ponownego otwarcia kasy biletowej, którą w czasie pandemii zastępowały automaty. Posłanka, gościni uroczystości ujawniła, że rozmowy na temat otwarcia kasy trwały 2 lata, cały czas pandemii. Nieustępliwa posłanka rozmawiała i rozmawiała, aż w końcu zwyciężyła. Podziękowaniom nie było końca.

Jeśli inspirację dla takich eventów stanowią filmy Barei, to co jeszcze zobaczymy? Powiedział boss: „Cieszę się, że jest ta spontaniczność. Pokazujemy, że po ośmiu latach rządzenia mamy nowe, świeże, dobre pomysły”. Jest zachęta, pomysłów i spontaniczności nie zabraknie.

Złośliwcy mówią, że to odgrzewanie przez nich starych kotletów. Złośliwcy nie chcą zauważyć nowych przypraw? Bo przecież oni się rozwijają. Z piątki robią już ósemkę i tylko czekać aż wyświetlą na tablicy piętnastkę. Tworzą nowe narzędzia, w zestawie do reasumpcji obok przycisków do głosowania zjawiał się długopis. Czy to nie jest ta spontaniczna, świeża pomysłowość?

Powtarzają nam, że dotrzymują obietnic. Trzeba się z tym zgodzić, bo skoro było, że nikt im nie wmówi, że białe jest białe... Odwracanie kota ogonem (przepraszam kota, ale takie jest powiedzenie) stało się znakiem firmowym. Z nieskrywaną ochotą rozliczają rządy minionych ośmiu lat – ale nie swoich, stale rozliczają winnych za wszystko poprzedników. Zaparkowali w 2015 roku i gaworzą o rządach, które dla młodszych są historią. Dawnych bogaczy III RP piętnują dziś nowi milionerzy nowego ładu. Piętnowania elit dokonują elity, tyle że te nowe, patriotyczne do bólu i prawdziwie polskie. A tamte, reprezentujące brzydkie *ancien regime* zyskały miano elit „kompradorskich”. No, erudyci potrafią obrażać w sposób wyrafinowany i do tego wzbogacają słownik wyrazów budzących ich „absmak”. Przy tym obronę interesów partyjnych przedstawiają jako obronę suwerenności, a faktyczne reprezentowanie jednej czwartej społeczeństwa – jako emanację woli narodu. I nikt im nie wmówi, że czarne jest czarne... Jaki w tym cel? Pytanie naiwne. I nie tyle do celu, co do używanych środków należałoby mieć zastrzeżenia (eufemizm taki).

Choć wiele potrafią nam zepsuć, to totalnymi nieukami nie są. Zaczepnęli co nieco wiedzy o środkach i celach (w l. poj.: cel, ten cel). Uświęcają więc środki, nawet kropidłem dla większej pewności uświęcenia. Dowiedzieli się od Machiavellego, że mąż stanu (który z nich się za takiego nie uważa?), aby prowadzić skuteczną politykę, może sięgać po środki i metody sprzeczne z zasadami moralnymi. Władca – mówi autor „Księcia” – powinien zachować pozory łaskawości, prawości, człowieczeństwa, a siłę i terror ma łączyć z podstępem i zdradą. Pożądane jest, by poddani szanowali i kochali władcę, a przynajmniej – by wywoływał on lęk. Do tego – trzeba wytwarzać przeświadczenie, iż działania rządzącego są w istocie dobre. Oni o tym się dowiedzieli, i im się spodobało. I tu jest pies pogrzebany (przepraszam psa z powodu jw.) – mamy wyjaśnienie potrzeby odwracania kota.

I tu koniec żartów! Bo o ile można obśmiać napuszone inscenizacje, propagandę sukcesu, której nawet Gierek by pozazdrościł – to poważnie należy traktować np. ich idiotycznie żalosne zachowania i prymitywnie nieudolne tłumaczenia po tym, gdy rosyjska rakietą przeleciała spokojnie, niezauważenie nad połową Polski. Czy wystarczy śmiech i szyderstwo, gdy zagrożone jest nasze elementarne bezpieczeństwo? A oni, jak gdyby nic (Polacy, nic się nie stało...) bawią się, grają w swoje gierki. Dla nich wszystkie chwytły dozwolone, wszystkie środki uświęcone. Grają nie swoimi pieniędzmi. Grają według swoich zasad, czyli bez żadnego trybu. Grają znów mniejszościami, migrantami, polskim papieżem. Za wszelką cenę, po trupach do... Pytać o kierunek? Słyszy się, że zbliżamy się do schyłku demokracji, ale czy to prawda? Mamy jeszcze demokrację? Odpowiedź jesienią...

Czwarta część społeczeństwa zawłaszcza, na wyłączność, miano narodu. Przekonani do archaicznej polityki, religijnych zabobonów, wrogości otoczenia zewnętrznego i wewnętrznego, do gospodarczych iluzji, nacjonalistycznych mrzonek, narodowej mitologii, do pogardy dla nauki, do lekceważenia oświaty, zadowolenia z własnej ignorancji...

Już ściana? Bo – pomieszało się nam. Prywatne ze wspólnym, pensje z zasiłkami, kłamstwo z prawdą, państwowe z kościelnym, religia

z magią, obywatelstwo z poddaństwem, historia z mitologią... I tak sobie w pomieszaniu żyjemy: Nieuczciwy gra uczciwego, leniwy pracowitego, niesprawiedliwy sprawiedliwego. Diabeł ubiera się w ornat, oprawca mieni się ofiarą, złodziej każe łapać złodzieja. Niemoralny uczy moralności. Dobry udaje gorszego, a mądry nie afiszuje się wiedzą.

Dla kogo pogoda? Komu służy bytowanie w krainie mentalnego niżu?

Krzyczymy, że mamy dość i – co dalej? Obrażają nas. Obrzucają chamskimi, wykluczającymi i poniżającymi obelgami. Mówią swoim, że idziemy w wulgarnych marszach nienawiści, w marszach antypolskich; że wysługujemy się obcym i wrogom; że niszczymy polskość i wia-

rę naszą; że... Przypominać? Jak będzie – znów okaże się, że wielu wybrało... pozostanie w domu?

A potem znowu: Zabiorą, rozdadzą. Pouczą, postraszą. Oceniają, posegregują. Pogłaszczą, potarłoszą. Poniżą, wywyższą. Zlikwidują, utworzą. Odślonią, poświęcą. Obostrzą, poluzują...

Ersatz. Nadal ersatz?

Warto jeszcze być przyzwoitym? Czy stało się już tak, że tylko forsa się liczy i to ona zdecydowała?

Pomieszało nam się, lecz póki co – żyjemy. Mamy dość? Jeśli tak jest naprawdę, to istnieje jeszcze szansa.



Fot. L. Mańkowski

Bartosz KLIMCZUK

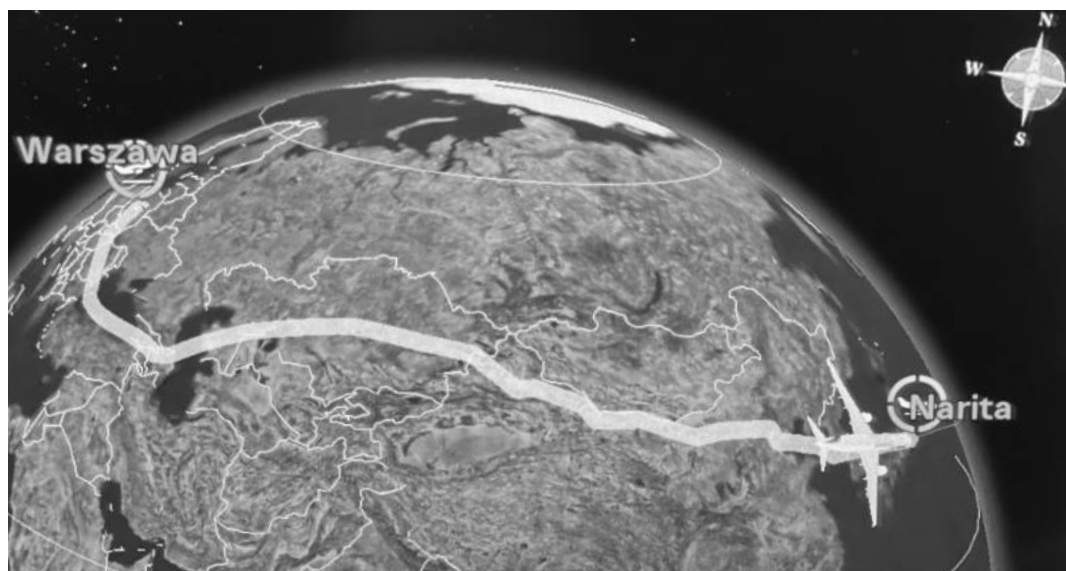
Trudne początki japońskiej przygody

Część 1

Kilka lat temu przygotowałem swoją własną, prywatną listę krajów, które koniecznie chciałbym w najbliższych latach odwiedzić. Po chwili namysłu zdałem sobie sprawę, że tak naprawdę to nie ma państwa, do którego nie chciałbym pojechać. Jeśli będzie taka możliwość, to chętnie zwiedzę chociażby Bangladesz, Afganistan czy Somalię, mimo że kierunki te nie cieszą się obecnie zbyt dużą popularnością wśród turystów. O ile trudno było mi wybrać miejsce ostatnie w tabeli, czyli tam gdzie miałbym najmniejszą ochotę się wybrać, to pierwsze trzy kraje wskazałem bez większych kłopotów. Na pierwsze miejsce trafiły Stany Zjednoczone, które miałem okazję zwiedzić w 2019 roku, na drugim znalazła się Japonia, a na trzecim Rosja. Do zbyt wielu optymistów nie należę, także zdaje sobie sprawę, że do tego trzeciego państwa z przyczyn oczywistych raczej szybko nie zawitam. Przyjazd do Japonii jeszcze do niedawna również pozostawał raczej w sferze marzeń. Kraj Kwitnącej Wiśni, jak reszta większość Azji, przyjął bardzo restrykcyjną politykę antycovidową i do zimy zeszłego roku zwykły turystyczny wyjazd tam był praktycznie niemożliwy. Pewne przecieki, że sytuacja ma się zmienić, pojawiały się mniej więcej od lata 2022 roku. Gdy tylko japoński rząd w listopadzie ogłosił zniesienie pandemicznych ograniczeń dla turystów, praktycznie natychmiast kupiłem bilety lotnicze. Nie chciałem za bardzo kombinować z przesiadkami, czy szukaniem najkorzystniejszego finansowo połączenia, więc wybrałem bezpośredni lot z Warszawy do Tokio. Na szczęście, pod koniec zeszłego roku ceny przelotów na długich dystansach nie były jeszcze tak kosmicznie wysokie, jak teraz. Gdy

tylko dostałem potwierdzenie zakupu biletu na skrzynkę mailową, nie mogłem już doczekać się końca lutego, kiedy to moja miesięczna przygoda z Japonią miała się rozpocząć.

Aby jednak urzeczywistnić marzenie będące numerem dwa na mojej turystycznej liście, najpierw trzeba było się trochę przemęczyć. Lot trwał bite 12 (!) godzin bez przerwy i mimo, że samoloty LOT mają nieco więcej miejsca na nogi niż taki Ryanair czy Wizz Air, to jednak z uwagi na to, że lot rozpoczynał się około godziny 23.00, nocka należała do raczej średnio udanych. Cała podróż trwałaby kilka godzin krócej, jednak trwająca u naszych wschodnich sąsiadów wojna powoduje, że samoloty rezygnują z najkrótszej możliwej trasy – przez terytorium Rosji. Trzeba było zatem lecieć między innymi przez państwa Kaukazu, Azji Środkowej i Chin. Nie będę w tym miejscu za bardzo rozwodził się na temat lotniskowych procedur, bo wszystkie niezbędne druki można pobrać i wypełnić przez internet, a urzędnikowi pokazać tylko do zeskanowania odpowiedni kod, który dostaniemy mailem po wcześniejszym prawidłowym wpisaniu wymaganych od nas informacji. W momencie gdy ja leciałem do Japonii, konieczne było także posiadanie certyfikatów dotyczących szczepień przeciwko COVID 19. Osoby, które takich nie posiadały, musiały okazać odpowiednio wcześniej wykonany, negatywny test na koronawirusa. Lotnisko w Tokio jest być może duże, ale bardzo przyjazne dla turysty (nawet tego skrajnie niewyspanego i zmęczonego), a gdyby nawet jakaś gapa nie zwracała uwagi na tabliczki i kierunkowskazy, to przy barierkach stoi co najmniej jeden pracownik lotniska, który kieruje całym



Ze względu na wojnę na Ukrainie loty z Warszawy do Tokio odbywają się okrężną drogą

ruchem. To mnie akurat dosyć zaskoczyło, bo po Japonii spodziewałem się całkowitej automatyzacji w obsłudze przyjezdnych, a jednak ludzi z krwi i kości było tam zdecydowanie więcej niż komputerów. W internecie na różnych forach można spotkać się z informacjami, że procedury na lotnisku trwają w nieskończoność i po przylocie trzeba się uzbroić w anielską cierpliwość. Ze swojego własnego doświadczenia napiszę, że w moim przypadku wszystko odbyło się naprawdę ekspresowo. Faktem jest, że jeśli ktoś nie wypełnił wcześniej przez internet wymaganych dokumentów i nie posiadał kodów do kontroli, to musiał przejść nieco inną ścieżkę, pewnie dłuższą i nieco bardziej czasochłonną. Gdy jednak wcześniej sprawdził się jakie „cyfrowe papiery” są wymagane, procedury trwają dosłownie parę chwil. Moje samozadowolenie z tego, jak pięknie wszystko sprawdziłem i jak sprawnie poszła kontrola minęło dosłownie chwilę potem. Do centrum Tokio można dostać się na kilka sposobów, ale zdecydowanie najpopularniejszym jest pociąg startujący bezpośrednio spod lotniska. Mnóstwo osób przyleciało o tej porze do stolicy Japonii, także kolejka do kupna biletu w tradycyjnej kasie była ogromna. Pomyślałem sobie, „przecież jestem w kraju tzw. pierwszego świata, jaki mogę mieć problem z zaplaceniem za prze-

jazd w biletomacie”. Tam też wprawdzie stał ogonek ludzi, ale zdecydowanie mniejszy, więc wybór padł na maszynę. Gdy już doczekałem dostępu do konsoly, od razu wybrałem opcję zmiany języka na angielski. Myślałem, że będzie to banalnie proste, w końcu najwięcej ludzi z lotniska chce się dostać jednak do centrum stolicy. Tak mało intuicyjnej maszyny jednak jeszcze w swoim życiu nie widziałem. Te w Ameryce Południowej, nawet w języku hiszpańskim, były dużo prostsze w obsłudze. Wszędzie pełno było dziwnych opcji i odnośników, automat wymagał podania numeru pociągu i wpisania literka po literce miejsca docelowego. Gdy już myślałem, że sobie z tym poradziłem i zadowolony z wydrukowanym (po japońsku) „biletem” ruszyłem w kierunku bramek, czekała mnie smutna niespodzianka – metalowe drzwi ani drgnęły. Pan z obsługi, niezwykle miły i sympatyczny (o sympatyczności Japończyków w pracy jeszcze napiszę) wyjaśnił mi, że nie kupiłem biletu ale... rezerwację miejsca na ten pociąg. Trochę byłem wtedy już zdenerwowany, bo nie dość, że zmęczony po podróży, to jeszcze do Tokio doleciałem wieczorem i w momencie przylotu były dosłownie dwa najbliższe pociągi do centrum, a potem trzeba było dłużej czekać na kolejny. Tym razem nie chciałem ryzykować i zdecydo-

wałem się na tradycyjną kasę. Na szczęście udało się kupić bilet na czas i ładnym, nowoczesnym pociągiem ruszyłem w kierunku centrum. Główny dworzec w Tokio jest niestety tak samo mało intuicyjny, jak biletomaty na lotnisku. Mnóstwo bramek, strzałek, kolorów oznaczających ścieżki i oczywiście tłumy ludzi. Koniecznie w tym miejscu muszę wspomnieć, że poruszając się po dworcu centralnym, nie można za bardzo stosować metody prób i błędów. Wynikało to z faktu, że aby dostać się do budynku trzeba przejść przez bramki, a co za tym idzie odbić bilet na konkretny pociąg. Nie można użyć wielokrotnie tego samego biletu (no chyba, że ktoś ma bilet łączony na kilka przejazdów, jak np. Japan Railway Pass, ale o tym też jeszcze napiszę), więc trzeba się dobrze zastanowić, gdy opuszcza się dworzec. Na szczęście przy drobnej pomocy nawigacji, udało mi się znaleźć odpowiednie wyjście i szybko dojść do hotelu. Wcześniej zdecydowałem, że najlepiej spać w pobliżu stacji, z której wyruszać będę na różne wycieczki po okolicy, więc na szczęście do noclegu miałem już około kilometr drogi. W momencie zameldowania i dotarcia do pokoju było około 23.00, więc już o niczym innym nie marzyłem, jak tylko położyć się spać.

Pierwsza, druga i w zasadzie trzecia nocka nie należała jednak do najbardziej udanych. Padłem ofiarą tzw. Jet Lagu, czyli Zespołu Nagłej Zmiany Strefy Czasowej. Gdy pierwszej nocy kładłem się spać mniej więcej o północy czasu japońskiego, to w Polsce była wtedy godzina 17.00, więc mój zegar biologiczny potraktował to jako krótką drzemkę i zbudził mnie po dwóch godzinach snu. Mimo, że czułem zmęczenie, a za oknem panowała noc, to za nic nie mogłem zasnąć ponownie. Takie wieczorne wiercenie się w łóżku, spanie po kilka godzin, i związane z tym niewyspanie za dnia, towarzyszyły mi przez mniej więcej trzy dni. Potem na szczęście zegar biologiczny się przestawił i mogłem wreszcie wypocząć. W Tokio wprawdzie zaplanowałem zostać tydzień, ale ani nie myślałem, żeby marnować czas na gnuśnienie w hotelu. Chciałem zabrać się za zwiedzanie stolicy Japonii już od następnego ranka, a to co mnie mobilizowało dodatkowo do opuszczenia hotelu półprzypadkowym, było wyjątkowe święto, jakie pod koniec lutego jest obchodzone w Kraju Kwitnącej Wiśni. Następnego dnia po moim



Ze słynną Godzillą w dzielnicy Kabukicho

przylocie, Japończycy bowiem obchodzili urodziny cesarza. Jest to wyjątkowy dzień, oczywiście wolny od pracy, kiedy można m.in. zwiedzić normalnie niedostępną część pałacu, ale przede wszystkim, na własne oczy ujrzeć samego cesarza. Dla miejscowych jest to naprawdę nie lada wydarzenie, nie tylko z powodu szacunku jakim darzy się tam osobę cesarza, ale także z czystej ludzkiej ciekawości. Monarchia japońska w ogóle nie przypomina tej skandynawskiej czy hollenderskiej, gdzie władca jest blisko ludzi, porusza się komunikacją miejską i likwiduje dzielące go z poddanymi bariery. Cesarza niezwykle trudno zobaczyć w mediach, a co dopiero na żywo. Dlatego też dzikie tłumy stały w kolejce, aby dostać się na plac przed pałacem, gdzie z balkonu cesarz wraz z rodziną pozdrawiał przybyłych. Aby dostać się do tego szczytu, zwykły śmiertelnik musi dużo wcześniej wziąć udział w specjalnej loterii, która na chybił trafił wyznaczy osoby mogące tego dnia przekroczyć próg pałacu cesarskiego. Nam się to niestety nie udało, ale trzeba mieć na względzie to, że o wejściówki ostro rywalizują między sobą sami Japończycy, a co tu dopiero mówić o turystach.

Urszula ŁUKOMSKA

Muzy, modelki, żony, kochanki – kobiety ze znanych obrazów

Część 4

Obraz, o którym poniżej, znajduje się w Muzeum Narodowym w Warszawie i został подарowany przez kobietę z portretu, a była nią najslynniejsza polska aktorka filmowa wszechczasów, znana na całym świecie hollywoodzka gwiazda kina niemego Pola Negri. Portret podarowała warszawskiemu MN w 1939 r., tuż przed wybuchem wojny. Namalował go Tadeusz Styka, syn słynnego z Panoramy Raclawickiej, Jana Styki, który po studiach w Paryżu i Londynie zamieszkał w USA w ulubionych miastach – Chicago i Nowym Jorku. Malował najczęściej obrazy o charakterze religijnym, ale zasłynął jako portrecista znanych person i ówczesnych sław, między innymi Ignacego Paderewskiego, tenora Enrica Caruso oraz amerykańskich prezydentów. Nie narzekał na brak dobrze płatnych zamówień, w Nowym Jorku stworzył studio na Manhattanie przy Central Parku. Portretowane osoby obdarzał specyficznym wdziękiem co zyskiwało poklask odbiorców, lecz przez kolegów złośliwie nazywany był „malarzem salonowym”. Portret Poli Negri namalował w 1922 r., gdy miała już status uznanej gwiazdy kina europejskiego.

Barbara Apolonia Chałupiec, bo tak nazywała się „boska Negri” urodziła się 3 stycznia 1897 r. w niewielkim Lipnie na Kujawach jako córka Jerzego i Eleonory z Kielczewskich, jako trzecie i ostatnie dziecko. Rodzeństwo zmarło

w dzieciństwie, zatem ją wychowywano jak jedynaczkę nie szczędząc uwagi i troski, „oczko w głowie ojca” beztroskiego i pogodnego mężczyzny, ale pod czujną obserwacją dość surowej matki. Gdy Pola miała 6 lat, ojciec został skazany za działalność antyrosyjską i wywieziony na Sybir, skąd nie wrócił. Matka wyprzedała wszystko i przeniosła się z córką do Warszawy. Mieszkały w małym mieszkanku na poddaszu, matka pracowała w niedużym sklepiku, a później jako służąca, by móc opłacić szkołę baletową dla córki. Na scenie Pola zadebiutowała jako 14-latka tańcząc rolę łabędziejki w *Jeziorze Łabędzim* Czajkowskiego w Operze Narodowej. Wkrótce zachorowała na gruźlicę, co uniemożliwiło jej dalszą karierę baletnicy. Leczenie w sanatorium w Zakopanem przyniosło znakomite rezultaty i młody organizm zwalczył chorobę. Sanatoryjną nudę zabijała czytając poezję. Szczególnie podobały jej się wiersze włoskiej poetki Ady Negri, od której zapożyczyła nazwisko na potrzeby sceniczne. Po powrocie do stolicy zapisała się do szkoły teatralnej. Początkowo grała małe role ale występ dyplomowy w *Dzikiej kaczce* Ibsena okazał się wielkim sukcesem. Dostała wiele propozycji angażu, ale ją zainteresował film. Grała przed południem drobne role w wytwórni Sfinks, a wieczorem na deskach Teatru Wielkiego, gdzie zobaczył ją niemiecki reżyser i aktor Max Reinhardt i za-



Pola Negri przy swoim portrecie, rok 1924

proponował pracę w Berlinie, z czego natychmiast skorzystała. Występowała w teatrze i kinie. W 1917 r. założono UFE największą wytwórnię filmową w Niemczech i zarobki aktorki dwudziestokrotnie przekroczyły gażę teatralną. Zarobiła tyle, że rok później kupiła matce dom w Bydgoszczy. Zatrzymała się wówczas w Hotelu „Pod orłem”, gdzie do dziś można oglądać kopię jej portretu namalowanego przez Stykę. Wyrastała na gwiazdę pierwszej wielkości. Najczęściej grała demonicznego wampa. Jej wizerunek wykreował w swych filmach znany reżyser Ernst Lubitsch. Sławę przyniosła jej główna rola w filmie *Madame du Barry*. Pisano o niej, że jest dzika i nieujarzmiona, zaczęto nazywać boginią seksu, wielu mężczyzn proponowało jej małżeństwo. Zachwycano się jej drobną, zgrabną figurą (mierzyla 152 cm), błękitnymi oczami i burzą ciemnych włosów, które odziedziczyła po ojcu

z cygańskimi korzeniami. Pierwszy raz wyszła za mąż za porucznika Eugeniusza Dąbskiego, zamożnego właściciela dóbr pod Sosnowcem, który „wybawił” ją z przykrego incydentu granicznego i będąc pod wrażeniem, po kilku tygodniach się oświadczył. Na akcie ślubu Pola podpisała się: Apolonia hr. Dąbska – Chałupiec, ale małżeństwo było nieudane. Mąż zabronił jej pracy w filmie na co aktorka się nie zgodziła i para rozstała się w 1922 r. W jej życiu pojawił się kolejny mężczyzna, znany amerykański aktor Charlie Chaplin. Pola go nie знаła, bo filmy ze Stanów nie były wyświetlane w Niemczech. Natomiast o nią upomniało się Hollywood, bo film Lubitscha zarobił krocie. Zanim Pola wsiała na pokład Majestic, by popłynąć do USA rozwiodła się, a w Paryżu pozowała Styce do portretu. Miała 25 lat i wielką karierę przed sobą. Pierwsze filmy w Hollywood okazały się sukcesem, Pola zaręczyła się z ulubieńcem

Ameryki, a prasa nie skąpiła im uwagi. Charlie kupił jej bransoletkę z onyksami i brylantami co było bezprecedensowe, bo ponoć był chorobliwie skąpy. W dodatku okazał się zakompleksionym, despotycznym i nietolerancyjnym człowiekiem, zupełnie innym niż jego filmowi bohaterowie. Perturbacje w życiu prywatnym nie zaszkodziły jej zawodowemu sukcesowi. Stała się ikoną mody, kobiety powielały jej fryzury i suknie. Ponoć pierwsza w fabryce snów malowała paznokcie u nóg na czerwono i to też zaczęto naśladować. Po kilku mało znaczących romansach jej uczucia skupiły się na „Wielkim Kochanku” kina Rudolfe Valentino. Początkowo mało znany aktor, po roli w *Czterech jeźdźcach Apokalipsy* i *Szejk* stał się bożyszczem kobiet. Hipnotyzował je powłóczyistymi spojrzeniami i znakomitą poruszaniem się jak w tańcu, całował w dłonie po wewnętrznej stronie patrząc równocześnie w oczy... Tańczył też fenomenalnie, zwłaszcza argentyńskie tango. Kobiety w Europie i USA oszalały. Gdy poznał Polę miał już za sobą kilka związków, ale para zakochała się w sobie na zabój. Zaręczyli się, aktorka przekazała mu sporą kwotę na zakup rezydencji w Falcon Lair, gdzie mieli zamieszkać po ślubie, ale amant musiał czekać na sfinalizowanie rozwodu. Wspólne życie nie było im jednak pisane. Jeszcze tego samego lata Rudolf trafił do szpitala na Manhattanie, gdzie miał poddać się operacji usunięcia wyrostka robaczkowego. Pola kręciła wówczas kolejny film w Hollywood, ale codziennie telefonowała do szpitala, by dowiadywać się o zdrowie ukochanego. Pod lecznicą zebrał się tłum około 1000 kobiet, władze obawiały się paniki. Radio nadawało komunikaty o stanie „boskiego Rudolpha”, który czuł się coraz gorzej. Zmarł na sepsę, 23 sierpnia 1926 r., mając zaledwie 31 lat. W dniu pogrzebu Nowy Jork ogarnęła zbiorowa histeria. Nasza bohaterka ponoć myślała o samobójstwie, na pogrzebie odegrała dramatyczną rolę rzucając się na trumnę i przysięgając, że już nigdy nie spojrzy na innego mężczyznę... Rok później została żoną księcia Serge’a Mdivaniego, który ożenił się z nią dla pieniędzy. Był hazardzistą, człowiekiem zaborczym, przehulał majątek rodzinny. Przyjaciele aktorki nie mogli pojąć skąd taka decyzja, a prasa nie dawała jej spokoju. Małżeństwo trwało



Pola Negri na planie filmu *Niewolnica zmysłów*, rok 1914

zaledwie dwa lata. Zmęczona sytuacją aktorka postanowiła zamieszkać na jakiś czas w Europie, nakręciła film w Anglii i dostała propozycję wystąpienia w Niemczech. Były to lata 30. i początkowo Joseph Goebbels nie zgodził się na jej udział, nazywając żydowską Cyganką, ale sam Hitler wstawił się za nią, uchylił zakaz, gdyż znał i podziwiał jej filmy. W USA fala krytyki i domysłów sugerowała jej udział w filmach propagandowych, co nie było prawdą. Pola zamieszkała na Lazurowym Wybrzeżu i dopiero w 1941 r. wróciła do Stanów. Zatrzymała się u znanej dziennikarki Margaret West, z którą była zaprzyjaźniona od dłuższego czasu. Pojawiły się nawet plotki o ich relacjach intymnych. W 1948 r. Billy Wilder zaproponował jej rolę w *Bulwarze zachodzącego słońca*, ale odmówiła, mówiąc, że skoro zagrała w 63 filmach to absolutnie wystarczy. Zmarła 1 sierpnia 1987 r. i została pochowana zgodnie z wolą na cmentarzu Calvary w Los Angeles obok swej matki Eleonory. Jej wizerunek na portrecie Tadeusza Styki do dziś budzi podziw.

Katarzyna GRZEGORCZYK

Wyzwania pilnie poszukiwane

Okiem belfra...

Z wielką przyjemnością obejrzałam netflixauską produkcję *Sila ducha*. Film powstał na kanwie autentycznej historii młodej Australijki, która ustanowiła rekord świata, opływając kulę ziemską bez zawijania do portu, jako najmłodszy żeglarz. Zrobiła to jako szesnastolatka. Dziewczyna pokonała wiele własnych słabości i ograniczeń. Dyslektyczne nie było łatwo opanować nawigację i kartografię, a jednak samozaparcie i postawiony cel sprawiły, że spełniła marzenie. Właśnie ten film polecam moim uczniom jako tekst kultury, który naprawdę warto poznać. Dlaczego? To nie tylko świetnie opisana przygoda, ale przede wszystkim historia młodego człowieka, który ma cel i pasję.

Myslę, że każdy młody człowiek potrzebuje wyzwań. To one sprawiają, że życie nabiera smaku. Dzięki nim dzieci nabiorą przekonania, że ich życie ma sens. Warto wiedzieć, że każdy dzień jest po coś. Każde doświadczenie do czegoś prowadzi. Co to zmienia? Przede wszystkim sprawia, że człowiek ma motywację, by odkryć swoje silne strony, znaleźć zalety i uwierzyć we własne możliwości. Jakich celów powinien szukać nasz uczeń? Mogą być wielkie – jak ten bohater filmu *Sila ducha* – ale wcale nie jest to konieczne. Nie wielkość celu jest ważna, ale determinacja, z jaką ten cel próbujemy osiągnąć.

Współczesna młodzież niestety często popada w stan „bylejakości” – byle przeżyć, byle przetrwać. Widzimy to podczas procesu nauczania, gdy większości z tych młodych ludzi w zupełności wystarczy ocena dopuszczająca. Bo po co walczyć o więcej? Co da nam wyższy stopień? – pytają, gdy próbujemy motywować do walki. Nie widzą przełożenia szkolnych stopni na prawdziwe, pozaszkolne życie. Zatem ocena sama w sobie celem być nie może. Cel musi być bliski młodemu człowiekowi. Musi go czuć, ro-

zumieć i widzieć. Ma wywołać pasję i poczucie, że warto włożyć wysiłek w to, co robimy.

Czy zatem system oceniania obowiązujący w polskiej szkole ma sens? Przecież rodzice i dziadkowie dzisiejszych uczniów też dostawali oceny, walczyli o nie i do dziś w głębokich szufladach zapewne mają świadectwa ukończenia kolejnych klas z wyższymi lub niższymi notami. Czy zatem warto coś zmieniać? Na pewno warto, bo zmienił się świat, w którym żyją dzisiejsi uczniowie. Ich odbieranie rzeczywistości jest inne niż poprzednich pokoleń. Dla wielu ocena wyrażona cyfrą nie jest celem i wyzwaniem. Jest tylko etapem, który tak naprawdę można zaliczyć na minimum i iść dalej. Dalej – czyli dokąd? Ku dorosłości, samodzielności i życiu, które daje satysfakcję, a nie piątki i szóstkę. To chyba chwila, by zmienić sposób myślenia o szkole i nauczaniu. Proces nauki nie powinien być procesem zaliczania. To raczej powinna być przygoda w zdobywaniu wiedzy i doświadczeń, które pozwolą spełniać marzenia dorosłego życia.

Nawet nam – dorosłym nie uda się zmienić szkolnego systemu z dnia na dzień. Wszyscy wiemy, jak trudne to zadanie. Możemy jednak motywować młodych ludzi, by szukali pasji i stawiali sobie cele, do których trzeba i warto dążyć. Trzeba pokazać różne możliwości i pozwolić próbować wielu rzeczy. Nie rozliczać dzieci ze zdobytych ocen, lecz doświadczeń, które pozwolą być naprawdę. Zaproponujmy młodym ludziom harcerstwo, sport, podróże, literaturę, film, teatr, a może jeszcze coś innego. Niech kosztują tego świata, niech szukają swojego miejsca. Nie zawsze pierwsza próba będzie trafiona. Dajmy im czas i przestrzeń na popełnianie błędów, rezygnowanie, aż wreszcie będzie to strzał w dziesiątkę.



Wieści z ratusza

770 lat miasta Śrem

14 czerwca br. w Muzeum Śremskim odbyła się uroczysta XLV Sesja Rady Miejskiej w Śremie, zwołana z okazji 770. rocznicy nadania praw miejskich miastu Śrem. W uroczystościach wzięło udział ponad dwieście osób: przedstawiciele władz samorządowych, jednostek gminnych, organizacji pozarządowych, przedsiębiorcy oraz mieszkańcy gminy Śrem.

Sesję rozpoczęła Przewodnicząca Rady Miejskiej w Śremie, Katarzyna Sarnowska. Burmistrz Śremu Adam Lewandowski przypomniał historię Śremu oraz postaci, które miały zasługi w jego budowaniu. Radni przyjęli stanowisko w sprawie 770. rocznicy nadania praw miejskich miastu Śrem. Po zakończeniu sesji przemawiali zaproszeni goście.

Jako pierwszy głos zabrał Marek Woźniak – Marszałek Województwa Wielkopolskiego, który złożył życzenia mieszkańcom gminy oraz wręczył burmistrzowi okazjonalną grafikę. Trzy osoby z gminy Śrem Marszałek wyróżnił odznaką *Za zasługi dla województwa wielkopolskiego*. Jest to honorowe wyróżnienie nadawane osobom, instytucjom lub organizacjom, które poprzez swoją działalność wnoszą wybitny wkład w rozwój gospodarczy, naukowy, kulturalny i społeczny województwa wielkopolskiego.

Odnaczenia otrzymali:

- Paweł Wojna – Prezes Zarządu PGK w Śremie Sp. z o.o.
- Maria Świdurska – Kierownik Ośrodka Pomocy Społecznej w Śremie
- Mariusz Kondziela – Dyrektor Muzeum Śremskiego.

Działania na rzecz gminy Śrem dostrzegło także Towarzystwo im. Hipolita Cegielskiego, które upowszechnia wartości patriotyczne, szacunek dla tradycji pozytywistycznej i pracy jako źródła pomyślności narodu. Odnaczenia śremianom wręczyli Prezydent dr Marian Król oraz Sekretarz Zarządu Dominik Górny. Otrzymali je:

Adam Lewandowski – Burmistrz Śremu – statuetkę Lidera Pracy Organicznej

Katarzyna Sarnowska – Przewodnicząca Rady Miejskiej w Śremie – Srebrny Medal Towarzystwa „Labor omnia vincit”

Hanna Brukarczyk – Sekretarz gminy Śrem – Srebrny Medal Towarzystwa „Labor omnia vincit”

Kolejne życzenia ze sceny wybrzmiały od Zygmunta Frankiewicza – Senatora RP, Prezesa Zarządu Związku Miast Polskich, oraz Andrzeja Porawskiego – Dyrektora Biura Związku Miast Polskich. Na ręce burmistrza złożono gratulacje i pamiątkową tubę.

Prezydent Unii Wielkopolan – Paweł Leszek Klepka również pogratulował burmistrzowi oraz wręczył certyfikat i medal w uznaniu zasług za popularyzację idei pracy organicznej.

Ze sceny popłynęły także gratulacje od Jakuba Kołakowskiego – dyrektora Odlewni Żeliwa w Śremie PGO S.A. Burmistrz Śremu otrzymał odlew żeliwny z grafiką 770 lat miasta.

Kolejnym punktem tej części spotkania była prezentacja *Kalendarium Śremu*. Jest to okolicznościowe wydawnictwo, obejmujące historię miasta od samego początku do 2020 roku wydane przez Bibliotekę Publiczną im. Heliadora Święcickiego w Śremie. Wydawnictwo otrzymali radni Rady Miejskiej w Śremie. Publicznie książka będzie do nabycia pod koniec czerwca



w bibliotece oraz w Księgarni Przy Rynku w Śremie.

Ostatnią częścią spotkania w sali widowiskowej, był wykład *Herby Śremu*, który wygłosił prof. Piotr Pokora z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Następnie zaproszono wszystkich na wystawę historycznych dokumentów lokacyjnych Śremu *Herby Śremu*, ze zbiorów Archiwum Państwowego w Poznaniu i Muzeum Śremskiego. Prezentowane są na niej bezcenne pieczęcie z herbami miasta oraz unikatowe dokumenty, w tym ten najważniejszy dla Śremu – przywilej lokacyjny z 1253 r. Na co dzień niniejsze dokumenty nie są dostępne dla odwiedzających, a 770-letni dokument lokacyjny ostatni raz prezentowany w Śremie był w 1999 r.

Dalsza część uroczystości przeniosła się na plac przed Muzeum Śremskim. Tu nastąpiło podniesienie flagi państwowej i odśpiewanie hymnu narodowego. Przewodnicząca Rady Miejskiej w Śremie przedstawiła wizerunek nowego sztandaru gminy Śrem zgodny z zapisami uchwały Rady Miejskiej w Śremie. Nastąpiło uroczyste przekazanie sztandaru Burmistrzowi Śremu, które przedstawiciele Kurkowego Bractwa Strzeleckiego w Śremie zaakcentowali wystrzeleniem

salwy honorowej. Po prezentacji sztandaru, burmistrz przekazał go pocztowi sztandarowemu Straży Miejskiej w Śremie.

Na scenie wystąpili goście z gratulacjami i życzeniami. Zgromadzeni mieszkańcy gminy przyjęli życzenia od Marszałka Województwa Wielkopolskiego, Wicestarosty Poznańskiego Tomasza Łubińskiego, Wicestarosty Śremskiego Piotra Ruty, Arcybiskupa Stanisława Gądeckiego (odczytane przez ks. Prałata Mariana Bruckiego).

Uwieńczeniem spotkania była defilada Kompanii Honorowej 6. Batalionu Dowodzenia Sił Powietrznych w Śremie, korpusu kadetów z Zespołu Szkół Technicznych w Śremie oraz licznych pocztów sztandarowych przy akompaniamencie Orkiestry Dętej Towarzystwa Muzycznego im. Mariana Zielińskiego.

Na zakończenie na dziedzińcu Muzeum Śremskiego częstowano okolicznościowym ciastem, w kształcie liczby 770. Czas umiłał koncert muzyki rozrywkowej Orkiestry Dętej Towarzystwa Muzycznego im. Mariana Zielińskiego w Śremie.

Obchody 770. rocznicy nadania praw miejskich miastu Śrem zostały przygotowane przez Muzeum Śremskie.



Klon dębu Wybickiego

18 maja, w muzealnym ogrodzie został posadzony klon dębu Wybickiego, który rośnie w Muzeum Hymnu Narodowego w Będominie. Dąb sklonowano

z wykorzystaniem metody mikrorozmnażania w sterylnych kulturach in vitro. Dwumetrową sadzonkę posadzili prof. Paweł Chmielarz i dr. Jan Suszka z Instytutu Dendrologii Polskiej Akademii Nauk w Kórniku, z pomocą Grzegorza Wiśniewskiego zajmującego się naszym ogrodem.

Dąb trafił do Muzeum z inicjatywy Moniki Bułińskiej.

Sklonowane dęby, około 2-metrowej wysokości, posadzono już wcześniej, w 2019 roku przy drzewie matecznym w Będominie, kolejne, w 2022 roku, wiosną, w Muzeum Ziemiaństwa w Dobrzycy i jesienią 2022, w Manieczkach, przy Rotundzie. Dwa kolejne klony dębu zostaną posadzone jeszcze w tym roku w Brodnicy oraz przy Technikum Rolniczym im. Józefa Wybickiego w Grzybnie.



Sadzenie klonu dębu Wybickiego w ogrodzie Muzeum. Od lewej M. Kondziela – dyrektor Muzeum Śremskiego, prof. dr. hab. Paweł Chmielarz i dr. Jan Suszka z Instytutu Dendrologii PAN w Kórniku

Śrem w obiektywie Stanisława Wiktora

Wystawa w Muzeum Śremskim 8.07-25.08.2023

Zmarły w 2014 roku Stanisław Wiktor był wielkopolskim fotoreporterem pracującym w latach 70. i 80. dla „Gazety Poznańskiej”, Krajowej Agencji Wydawniczej oraz Centralnej Agencji Fotograficznej. Zbiory archiwalnych negatywów jego autorstwa znajdują się obecnie w posiadaniu Wirtualnego Muzeum Historii Poznania CY-RYL. Stanisław Wiktor pozostawił po sobie dorobek kilku tysięcy negatywów, które w części zostały już zdigitalizowane. Mimo zarówno wysokiej wartości dokumentalnej jak i artystycznej, cechującej twórczość Wiktora, pozostaje ona wciąż szerzej nieznana. Fotograf spędził dwie dekady na dokumentowaniu codziennego życia i wydarzeń mających miejsce nie tylko w Poznaniu, ale w całym regionie Wielkopolski. Zadanie fotoreportera gazety codziennej było jasno określone – dokumentuje wydarzenia, zdarzenia i fakty, które mają miejsce na terenie objętym zasięgiem czasopisma. Za najważniejsze wydarzenia tego czasu kierownictwo gazety uznawało: czyny partyjne, zjazdy partii, spotkania z weteranami ruchu robotniczego, normy wyrabiane przed przodowników pracy zatrudnionych w wiodących dla gospodarki socjalistycznej zakładach pracy i kombinatach rolnych, uroczyste obchody świąt państwowych i rocznic, akademie, wizyty, delegacje, pochody, dożynki, wybory do Rad Narodowych, wręczanie medali i odznaczeń, przedterminowy finisz sztafetowych inwestycji i konferencje sprawozdawczo-wyborcze. W Szamotułach, Gołańczy, Śreміe, Środzie, Kaliszu, Trzciance, Wolsztynie, Luboń, Gnieźnie, Koninie, Obornikach, Pniewach,

Swarzędzu, Wrześni, Pobiedziskach, Zaniemyślu, Sierakowie, Bieganowie, Puszczykowie, Suchym Lesie, Kole i Kiekrzu. Te z pozoru nudne i przewidywalne fotografie z perspektywy lat nabierają wartości. Przestaje razić ich nachalna propagandowość, ponieważ dystans historyczny łagodzi ich karykaturalne rysy. Uwydatniają się za to ich walory dokumentalne, stanowiące wyjątkowo trafne i oryginalne świadectwo minionych czasów. Oglądane z perspektywy dnia dzisiejszego, okazują się niezwykle wartościowe również pod względem artystycznym. Zza pompatycznych scen wyzierają niekiedy szerokie plany ukazujące place, ulice, budynki, sklepy, obiekty przemysłowe, pomniki, parki, stadiony. Wielu z tych miejsc już nie ma, ale pozostały w pamięci mieszkańców miast i miasteczek. Zdjęcia Stanisława Wiktora zapraszają na niecodzienny spacer ścieżkami dzieciństwa i młodości Wielkopolan. Pierwsi w taką podróż z Cyrylem wyruszają mieszkańcy Śreмі: pracownicy Odlewni Żeliwa w Śreмі i PGR Manieczki, pasażerowie autobusów odjeżdżających z nowego dworca PKS i uczniowie śremskich szkół, uczestnicy czynów partyjnych i imprez na Stadionie Miejskim w Śreмі. Nieocenioną pomocą w opisie zdjęć służyli Marek Pioch i Jan Gurdek. Nie wszystkie fotografie udało się zlokalizować, być może teraz uda się rozpoznać osoby na nich uwiecznione. Zapraszamy śreміan do uzupełniania opisów – wysyłania ich na adres pawel.michalak@cyryl.poznan.pl lub na specjalnie przygotowanych na wystawę kartach.



63-100Śrem
ul. A. Mickiewicza 89
tel/fax: 612835938
www.muzeum.srem.pl
e-mail: muzeum@srem.pl

W dniach 26-30 czerwca w Muzeum Śremskim odbywały się letnie półkolonie. W zajęciach wzięło udział 15 uczestników w wieku 7-13 lat. W tym roku półkolonie przyjęły charakter kulinarno-plastyczny. Dzieci miały okazję wykonać witrażowy lampion z makaronu, ulepić z gliny ulubione owoce i warzywa oraz przygotować sa-

modzielnie sałatkę owocową i ciasteczka. Odwiedziliśmy Dymaczewo, gdzie wzięliśmy udział w warsztatach piekarskich oraz Rogalowe Muzeum w Poznaniu. Jak co roku nie zabrakło wspólnych gier i zabaw. Kolejny turnus w sierpniu.



Herby Śremu

Wystawa w Muzeum Śremskim 14-26.06.2023

W związku z obchodami 770-lecia miasta, Muzeum Śremskie we współpracy z Archiwum Państwowym w Poznaniu, przygotowało wystawę *Herby Śremu*. Prezentowano na niej głównie bezcenne pieczęcie z herbami miasta. Oprócz nich wystawiono unikatowe dokumenty, w tym dwa najważniejsze związane z dwoma lokacjami

miejskimi Śremu. Pierwszy, to oryginalny przywilej lokacyjny z 1253 r., a drugi to transumpt z 1560 r., potwierdzający lokację z 1393 r. Na codzień niniejsze obiekty są niedostępne dla zwiedzających, a 770-letni dokument lokacyjny po raz ostatni był prezentowany w Śremie w 1999 r.



LIPIEC

5.07., 26.07.

grupa I
9:30-10:30
grupa II
11:15-12:15

**CZYTAJKO ZABAWIANKI, CZYLI
WAKACYJNA AKADEMIA MAMY, TATY I MALUCHA
(2-3 LATA Z OPIEKUNAMI)**
PROWADZĄCA: MARTYNA FRĄCKOWIAK-LEŚNICAŁ

35 ZŁ/
PARĘ
ZA 1
ZAJĘCIA

3-7.07.

12:00-14:00

**MAGICZNE KWADRATY
PODSTAWY PRACY Z SZYDEŁKIEM (10+)**
PROWADZĄCA: JUSTYNA SKRZYPCZAK

125 ZŁ/
TYDZIEŃ

14:30-16:00

SURVIVAL KIDS (7+)
PROWADZĄCA: DARIA WYRZYKOWSKA-ROPIŃSKA

125 ZŁ/
TYDZIEŃ

15:00-15:45

WAKACYJNE RYSOWANKI (4-6 LAT)
PROWADZĄCA: KAROLINA SZEWCZYK

125 ZŁ/
TYDZIEŃ

16:00-16:45

WAKACYJNE KREATYWNIKI (6-10 LAT)
PROWADZĄCA: KAROLINA SZEWCZYK

125 ZŁ/
TYDZIEŃ

10-14.07.

10:00-11:30

**COŚ Z NICZEGO - WARSZTATY
Z ELEMENTAMI DECOUPAGE (7+)**
PROWADZĄCA: DOROTA WITCZAK

125 ZŁ/
TYDZIEŃ

17-21.07.

8:30-15:30

TYDZIEŃ Z KRAJKOLANDIĄ (5+)
PROWADZĄCY: INSTRUKTORZY Z KRAJKOLANDII

550 ZŁ/
TYDZIEŃ

24-28.07.

10:00-12:00

**BAJKOWE WARSZTATY
ARTYSTYCZNE (6+)**
PROWADZĄCA: WIOLA KĄZMIERZAK-BARCZAK

180 ZŁ/
TYDZIEŃ

15:00-16:30

WAKACYJNY KURS RYSUNKU (7-11 LAT)
PROWADZĄCA: KATARZYNA OWSIANNIA

299 ZŁ/
TYDZIEŃ

16:45-18:45

WAKACYJNY KURS RYSUNKU (11+)
PROWADZĄCA: KATARZYNA OWSIANNIA

299 ZŁ/
TYDZIEŃ

SIERPIEŃ**2, 9, 16.08.**

grupa I
9:30-10:30
grupa II
11:15-12:15

**CZYTAJKO ZABAWIANKI, CZYLI
WAKACYJNA AKADEMIA MAMY, TATY I MALUCHA
(2-3 LATA Z OPIEKUNAMI)**

PROWADZĄCA: MARTYNA FRĄCKOWIAK-LEŚNICZAK

35 ZŁ/
PARĘ
ZA 1
ZAJĘCIA

31.07.-4.08.

10:00-13:00

**TYDZIEŃ Z NAUKĄ NA WESOŁO
(7-12 LAT)**

PROWADZĄCY: EDUKATORZY ZE STOWARZYSZENIA MERCURY

175 ZŁ/
TYDZIEŃ

10:00-12:00

LETNIA MAKRAMA (12+)

PROWADZĄCA: HALINA KAŁUŻNA-SZMYT

150 ZŁ/
TYDZIEŃ

17:00-19:00

LETNIA MAKRAMA (DOROŚLI)

PROWADZĄCA: HALINA KAŁUŻNA-SZMYT

150 ZŁ/
TYDZIEŃ

7-11.08.

10:00-11:30

COŚ Z NICZEGO WARSZTATY DLA DZIECI (7+)

PROWADZĄCA: DOROTA WITCZAK

125 ZŁ/
TYDZIEŃ

14-18.08.

8:30-15:30

PODRÓŻE Z KRAJKOLANDIĄ (5+)

PROWADZĄCY: INSTRUKTORZY Z KRAJKOLANDII

620 ZŁ/
TYDZIEŃ

21-25.08.

10:00-12:00

KREATYWNE GRY I ZABAWY (7+)

PROWADZĄCA: MARTYNA FRĄCKOWIAK-LEŚNICZAK

125 ZŁ/
TYDZIEŃ



63-100Śrem
ul. Grunwaldzka 10
tel: 612835467, fax: 612837774
www.biblioteka.srem.pl
e-mail: info@biblioteka.srem.pl

Premiera najnowszej publikacji Biblioteki Publicznej w Śremie odbyła się 14 czerwca 2023 roku podczas oficjalnych uroczystości związanych z urodzinami naszego miasta. Wydawnictwo ukazuje osiem wieków historii Śremu w ujęciu chronologicznym, od najdawniejszej pisemnej wzmianki do roku 2020. Autorem koncepcji projektu jest Adam Podsiadły, który podjął się również redakcji kalendarium. Książkę ilustrują oryginalne prace Tomasza Mazurczaka, przedstawiające charakterystyczne obiekty śremskiego krajobrazu.

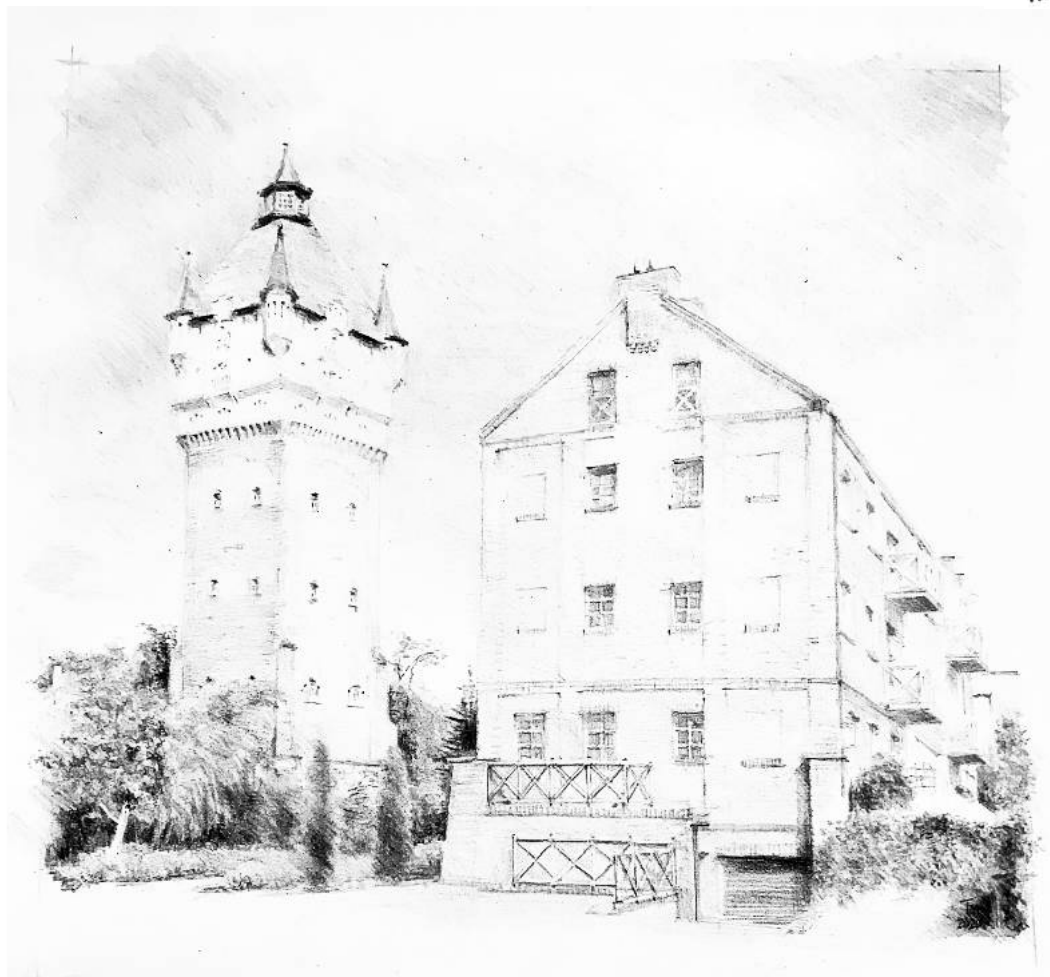
Zachęcamy do lektury.



13 czerwca Bibliotekę Publiczną w Śremie odwiedził dziennikarz, reportażysta, pisarz i wykładowca akademicki - Mariusz Szczygieł. Podczas prawie dwugodzinnego spotkania przybliżył kulturę czeską, obyczaje i ciekawostki o naszych południowych sąsiadach.

Na pamiątkę wizyty Mariusz Szczygieł otrzymał autorski portret wykonany przez Lenę Stawińską, uczennicę Liceum Ogólnokształcącego w Śremie.





rys. Tomasz Mazurczak

Gazeta Śremska
siedziba redakcji – Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
tel: 61 2835938, kom: 533 875 030
gazeta@muzeum.srem.pl
www.muzeum.srem.pl

Wydawca:
Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:
Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Ewa NOWAK (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korekta)

Na okładce:
I fot. Barbara Jahns
IV fot. Piotr Pieczykolan

Skład:
Wiktoria BUKOWY

Druk:
www.intro-skiba.pl



„Balbinka”

ul. Powstańców Wielkopolskich 7

Restauracja PSS „Balbinka” to miejsce z wieloletnią tradycją. Została wybudowana w 1967 roku. Od roku 2018 funkcjonuje w nowej odsłonie.



Fot. Łukasz Pietrzak



Fot. Piotr Pieczykołan

